

W NUMERZE:

Jalu Kurek **ARCHIPELAG MAGALLANES** str. 11

Byzemplars obywatelski 11
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Bronisław Kowalski **Powrót do Europy** str. 12

Aleksander Mora **Atomowa wojna bogów** str. 7

Kamena

LUBLIN 27 IV 1980 NR 9 (703)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

NARODZINY MUZEUM

Mirosław Derecki

WIECZORAMI przez pałacowy park w Kazłowie nie się się potężny ryk. To dwieście byków, hodowanych przez miejscową rolniczą spółdzielnię produkcyjną w pobliskich pofolwarcznych budynkach, daje znać o swoim istnieniu. Latem jest jeszcze gorzej: trzeba zamknąć naглуcho wszystkie okna w pałacu, bo do efektów słuchowych wędrownych dołącza się jeszcze

plaga much, ciągnących chmurami od obór ku białym murom dawnej rezydencji Zamoyskich. Z okien wielkiego „czerwonego” salonu na pierwszym piętrze pałacu doskonale widać podniszczone dachy obór. Po wejściu na teren „hodowlanej fermy” rzuca się w oczy przede

Dokończenie na str. 8-9

WIELKIE MAŁE SPRAWY

Prawo do grymaszenia

— Czy klient kupujący w sklepach Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego może grymasić, czy respektuje to napisane prawo? — pytam dyrektora WPHW w Lublinie — naczelnego, Mariana Staronę i jego zastępcę, Michała Mostieńczuka.
— Odpowiedzieć można: i tak i nie. Bez wątpliwości — klient może sobie grymasić, jeśli idzie o ubiory, ale poza kożuchami i innymi wyrobami skórzanymi i futrzarskimi, których jest niewielka ilość w sklepach i tu potrzeby są zaspokajane w minimalnym stopniu. Natomiast może wybierać i nawet grymasić przy zakupach artykułów sportowo-turystycznych, paplarniczko-zabawkarskich, w sklepach z pamiątkami, w jubilerskich lub przy zakupach sprzętu oświetleniowego-żyrandole, lampy, kinkiety. Mamy niezłe zaopatrzenie w artykułach sprzętu domowego, np. lodówki. Jesteśmy w stanie zaspokoić potrzeby co do niektórych typów radiodbiorników i telewizorów „czarnobiałych”. I to byłaby chyba ta gama. Ale klient nie ma wielkiego wyboru, jeśli chodzi o telewizory „kolorowe”, magnetofony, wysokiej

klasy, pralki automatyczne, tanie roboty kuchenne, obuwie.
— Mówicie panowie, że można wybierać w sklepach z artykułami sportowymi i paplarniczymi, a nie ma na przykład dobrych wrotek, albo papieru maszynowego w ryżach.
— Zawsze znajdzie się taki towar, którego może być mniejsza ilość, lub mniejszy wybór.
— Ogię, gdy klient chciał pogrymasić, to miał do dyspozycji książki „Zyczeń i zażaleń”, później nazywały się one „Skarg i wniosków”, a teraz jak się nazywają, bo ich nie widać w sklepach?
— Jak to nie widać? W każdym sklepie jest książka. Poza tym wszędzie są kartki pocztowe zaadresowane do dyrekcji WPHW, klient może napisać do nas. Przeczytamy te, które przysły do nas w tym roku.
— Widzę, że macie panowie w teczce tylko trzy kartki przysłane w pierwszym kwartale. Treść jednej dotyczy braku białych nici, a dwie pozostałe chwałą punkty u-

Dokończenie na str. 12



Fot. W. Stepien

*Ludziom pracy
serdeczne życzenia
z okazji
Pierwszomajowego
Święta*

13. IV. Goszczę u znajomych w Białej, przedmieściu Janowa Podlaskiego. Dojazd do moich znajomych to istna droga przez mękę. Zaczęto budowę i nagle ją przerwano. Dziś, na szczęście, nie pada deszcz, ale gdy tylko trochę pokropi można ugrzęznąć w glinie. Jak tędy jeżdżą wozy, że nie wspomnę już o samochodach? Jak tędy chodzą ludzie? Aż nie chcę wierzyć, że do Janowa raptem dwa kilometry. Co na to naczelnik (gminy, miasta)? Jeśli nie można ukończyć budowy drogi ze środków państwowych, dlaczego nie zmobilizuje się samych mieszkańców Białej?

Typowy przykład niegospodarności. Czy trzeba czekać, by przyjechała z Warszawy telewizja i publicznie owa balaganiarstwo napiętnowała?

16. IV. W tych dniach „Przekrój” obchodził swoje 35-lecie. Pod redakcją Mietka Czuma pismo przeżywa drugą młodość. A swoją drogą w piśmie tym redaktorzy naczelni stosunkowo długo zagrzewają: trzydziści pięć lat i tylko trzech naczelnych (Marian Effe, Mieczysław Kieta i Mieczysław Czuma)!

Są ludzie, którzy czytują „Przekrój” od pierwszego numeru, którzy kompletują poszczególne roczniki. Ja, przynajmniej ze skruchoj, najchętniej czytywałem „Przekrój” w latach czterdziestych, w okresie przedmaturalnym, szczególnie sobie ceniąc artykuły Jana Osmańczyka, Jerzego Borejczy, no i oczywiście, „Teatrzyk Zielonej Gęsi” K. I. Gałczyńskiego...

Ze starych numerów zachowały mi się niektóre (gdzie je magazynowałem?) Oto np. numer 79 z 13—19 października 1946 r. Na 2 i 3 stronie fotokronika: brytyjscy posłowie Labour Party w Polsce, otwarcie nowej linii PKS w Zakopanem, 3-cia rocznica bitwy pod Lenino, Wielka Wystawa Przemysłu Epojowego w Warszawie, Szpital Śawadzkiego Czerwonego Krzyża dla Ołowca, osuszanie zatopionych terenów w okolicach Gdańska, szkoła radiotechniczna w Dzierżonowie... Dalej m. in. fotoreportaż z Ussuri we wschodniej Syberii, wiersz K. I. Gałczyńskiego „18 (osiemnaście) żołędzi”, fragment dramatu Emila Zegadłowicza i Marii Koszy „Domek z kart”, artykuł Mariana Podkowińskiego o wyroku w Norymberdze, fotoreportaż z wytwórnicy papieru w Myszkowie (produkcja dzienna: 60 ton), fragment prozy Arkadego Fiedlera „Radosny płak Dingo”, przegląd nowości wydawniczych „Czytelnik” („Mury Jerycha” Brezy, „W rozwalonym domu” Dobraczyńskiego, „Nowa miłość i inne opowiadania” Iwaszkiewicza, „Spacer zynika” Leca, „Święta kula” Putramenta, „Historia filozofii Tatarikiewicza, „Kampania wrześniowa” Kirchmayera, „Psychologia zwierząt” Dembowskiego itd.).

W poczcia redakcyjnej „Przekrój” dziękuje za nadesłane błyskotliwe powiedzonka. Wśród autorów m. in. Leszek Herdegen z Krakowa. A z drukowanych w numerze powiedzonek m. in. to, które nadesłał Feliks Komorowski z Katowic: „Życie jest jak jajecznicca z pięciu jaj. Przynajmniej cztery powinny być świeże”.

Po co o tym wszystkim pisać? Po prostu chcę wykazać, że „Przekrój” zawsze miał dobre pomysły. Nawet w pierwszych latach pięćdziesiątych wyróżniał się pod tym względem na tle innych czasopism polskich, aczkolwiek nie był to i dla niego najlepszy okres. Ale już w 1955 r. otrząsnął się ze schematyzmu, sięgnął po nowe pomysły, zyskał nowe pióra, rozszerzając wachlarz tematyczny. Każdy z czytelników znajduje tu coś dla siebie. Tajemnicą redakcji jest, jak potrafi godzić skrajne gusty i guściki. A potrafi znakomicie!

Osobliwie byłbym jednak zwolennikiem, jak drzewiej bywało, dawania aktualnego zdjęcia na całą okładkę. Tutaj nie ma na czym oszczędzać, a zająć niechże też niczego nie potrzeba, bo pismo i tak sprzedaje się spod lady. Okładki z pierwszych stu numerów, przypomniiane w nr-ze setnym, to całkiem historia lat powojennych.

Powodzenia! Serdeczne gratulacje z okazji 35-lecia!

17. IV. Cytat z hamburskiego tygodnika „Die Zeit”: „Jeśli Bawaria postawi na swoim, to w najbliższym czasie w naszych podręcznikach szkolnych i atlasach w poszczególnych krajach federalnych Niemcy będą przedstawiały w rozmaity sposób. Właściwie już

od początku nowego roku szkolnego w Bawarii nie miały być dopuszczone do użytku szkolnego żadne atlasy, w których na wszystkich mapach linia Odra—Nysa, granice Rzeszy z 1937 r. i granica wewnątrzniemiecka między Republiką Federalną Niemiec i NRD nie byłyby specjalnie oznaczone. Jednak na prośbę niektórych wydawnictw podręczników szkolnych bawarskie ministerstwo wyznał i oświadczył przedłużony termin o rok. [...] Myśli się, że być może po wyborach do Bundestagu Bawarczycy będą jednak skłonni do rozmów. Ale premier Franz Josef Strauss [...] potwierdził raz jeszcze, że Bawaria nie zmieni swojego stanowiska w tym sporze o mapy”.

Pismo słusznie dodaje: „Każdego Polaka musi złościć, kiedy widzi na niemieckiej mapie swoją granicę zachodnią oznaczoną kreseczkami albo kropkami...”

Nie po raz pierwszy Strauss występuje przeciwko realiom politycznym, ukształtowanym w wyniku rozgromienia III Rzeszy hitlerowskiej przez koalicję antyfaszystowską. Przypomina złego psa, który ujada na łańcuchu. Ten łańcuch pękłby jednak, gdyby Strauss wygrał najbliższe wybory i objął stanowisko kanclerza.

„Strauss — pisał niedawno w tygodniku „Der Spiegel” Juergen Leinemann — potrafi obchodzić się ze swymi przeciwnikami tylko w ten sposób, że ich degraduje i odczłowiecza. Czyni z nich szczury, muchy plujki, psy podwózkowe. Mówi, że są pomyleni i noszą protezy w mózgu lub są narkomanami”.

Leinemann tak charakteryzuje Straussa: „Musi on zawsze panować nad mapą świata, którą rozszerza i kurczy zależnie od jego woli. Czasami zarzewie konfliktu znajduje się według niego „tuż za drzwiami”, innym razem w Pakistanie lub Afryce Południowej. Rozciągliwe jest dla niego pojęcie „ojczyzna”: raz jest to Bawaria, raz Europa, a raz Niemcy. Raz sięga ona do Łaby, innym razem do Odry, albo do Królewca (Kaliningradu — M. A. J.). U Straussa wszystko się zmienia. Mówi on o sobie: „Jestem intelektualista”. „Jestem konserwatystą”. Innym razem przedstawia się jako radykał, liberał, chrześcijanin, demokrat. Jest również historykiem, filologiem, teoretykiem, analitykiem, politykiem, pragmatykiem — tak o sobie mówi. Strauss dokonuje interpretacji samego siebie, wygłasza liczne stwierdzenia o sobie — tworzy samą historię i samego siebie. Dlatego jego osoba jest ważniejsza od polityki. Jego polityczne czyny i tezy są jedynie odbiciem wewnętrznych napięć, świat jest dla niego tylko refleksem jego własnych, wewnętrznych sprzeczności”.

I dalej: „Swoją awans Strauss zawdzięczał przede wszystkim inteligencji. Był prymusem od pierwszej do ostatniej klasy gimnazjalnej, maturę zdał celująco. Zdał również kilka poddyplomowych egzaminów państwowych. Dziś powołuje się na swoje osiągnięcia, uzasadniając nimi prawo do współgłosu w polityce. Pozostał jednak jednak niepewny sam siebie — od dnia dzisiejszego pokazuje wszystkie swoje symbole statusu mieszczkańskiego: tytuły, formalne wykształcenie, pieniądze. W takim stopniu nie czyni tego prawie żaden inny polityk boński. Nikt tak bez żenady nie wykorzystuje tytułu doktora honoris causa. Każde nazywać się panem doktorem, najchętniej zapewne zostałby profesorem. Te odznaczenia są dla Straussa wyrazem sukcesu, z którego ma się wywodzić jego prawo do przewodzenia. Dlatego bez przerwy musi udowodniać swój wysoki poziom wykształcenia, przemówienia szpikuje licznymi cytatami łacińskimi i przykładami historycznymi, tak jak Nowobogacki w oświecie. Gdy Strauss mówi o sobie, że jest historykiem, nie omisszka nigdy dodać, że jest historykiem „z egzaminem państwowym”, a czasami nawet „z kilkoma egzaminami poddyplomowymi”. Najwyraźniej samopotwierdzenie znajdował w zarabianiu pieniędzy. Jako student zaoszczędził 2000 marek. Dzisiaj jego majątek szacowany jest na kilka milionów. [...] Jego najbliższymi przyjaciółmi nie są politycy czy koledzy ze studiów, lecz milionerzy...”

Był już w latach trzydziestych polityk niemiecki, który szukał przyjaciół wśród milionerów. Oczywiście zmieniły się warunki historyczne. Polacy mają jednak wspaniałą pamięć. Dobrze,

aby choćby w połowie mieli taką pamięć obywatele Republiki Federalnej Niemiec, kiedy będą wrzucić swój głos do urny wyborczej.

18. IV. Inauguracja Dni Kultury Radzieckiej. Oficjalna inauguracja, jako że w Lublinie już przed kilkoma dniami obserwowaliśmy znakomity występ Ally Pugaczowej. Kiedy śpiewaczka jest jednocześnie aktorką, jak w wypadku Pugaczowej, wówczas efekt jest znakomity. Podziwiałem Pugaczową, która prawie przez półtorej godziny była na scenie, dając prawdziwy koncert... wytrzymałości. Takiej kondycji mogłyby jej pozazdrościć i Krawczyk i Wodecki.

Tymczasem w Warszawie wystąpił zespół Teatru Wielkiego z Moskwy, który zaprezentował widowisko baletowe „Spartakus” Arama Chaczaturiana, gorąco oklaskiwane przez publiczność. Oj, chciałoby się, aby w Lublinie jak najszybciej stanął gmach teatru z prawdziwego zdarzenia: moglibyśmy wówczas liczyć, że nasze miasto również gościłoby znakomitych mistrzów światowej sceny. Na razie większe imprezy odbywają się w Hali Sportowej, która nie stwarza żadnego klimatu. A dwugodzinne siedzenie na twardej ławce bynajmniej nie ułatwia odbioru.

19. IV. Na dziewięciu stronach „Szpilki” drukują dyskusję na temat seksu. Jerzy Urban mówi: „Boję się, że nie uratujemy już seksu dla socjalizmu. Szansa historyczna została dawno zaprzepaszczona. W Polsce sytuacja jest dość szczególna w tej dziedzinie. [...] W przeciętnym naszym domu zachowania seksualne toczą się dość liberalnie. Natomiast istnieje niezwykła pruderia w uzewnętrznianiu seksu, w mówieniu o nim i w twórczości związanej z tym tematem. System zakazów jest nie racjonalizowany, a nadzwyczaj silnie zakorzeniony. W rezultacie większa pruderia panuje w literaturze, w kinie niż w potocznym życiu. Myślę, że nie pruderia przypisywana cenzorom hamuje rozwój tematu seksu w sztuce, ale nacisk społeczeństwa, które w życiu świntuszy, w myślach świntuszy, ale w poglądach wyrażanych jest dulskie. Wszelkie uchylanie bariery swobody w przedstawianiu seksu spotyka się z nadzwyczaj silnym odporem ze strony ludzi, którzy nie uważają wcale, że seks jest zły, ale uważają, że spełnane zakazami powinno być jakiegokolwiek pokazywanie seksu. Dlatego wydaje mi się, że w Polsce jest potrzebne coś w rodzaju stopniowego wyzwolenia od zakłamania, w którym ludzie ugrzęźli”.

Wieczorem na szklanym ekranie wzywaliśmy nas od zakłamania dr Michałina Wisłocka. „Wszystko za wszystko” z udziałem L. bez udziału Edwarda Mikolajczyka, który tym razem nie ma prawie nic do powiedzenia. Może poprawi się w drugiej i trzeciej rundzie, w najbliższy czwartek. Telewizja dawkuje nam dr Michałinę Wisłocką, która przebiła się przez ćwierć wieku — dopiero nowe pokolenie mogło ją zrozumieć(?). Redakcja tygodnika „Razem” ma tu swoje bezsporne zasługi. Wśród słuchaczy dr Wisłockiej spotrzegliśmy Wojciecha Zukrowskiego. Włodzimierz Sokoraki tym razem się nie pojawił. Przeżyliśmy, aczkolwiek jego brak dawał się odczuwać.

W sumie o pierwszej rundzie niewiele da się powiedzieć. Z powodzeniem można by ją zaprezentować w programie „dobrejnocki” dla makuchów. Zapewne dlatego nie przestregano rodziców, żeby pociechy kładli do łóżek. Może tylko niektórzy meżowie poczuli się usatysfakcjonowani, kiedy dr Wisłocka zalecała żonom, aby przeczekiwały ewent. miłości swoich ślubnych. Pod adresem meżów taka rada jednak nie padła. Panowie są podbudowani.

Wkraczam na łezkę sąsiada, ale kilka słów muszę poświęcić meczowi piłkarskiemu Włochy — Polska. Po remisie 2:2 Jan Ciszewski triumfalnie wołał: Jak wyglądają teraz ci, którzy krytykowali naszą drużynę po poprzednich występach? A no wyglądają całkiem normalnie. Trzeba bowiem wiedzieć, że zawodnicy włoscy nieco się oszczędzali w tym towarzyskim meczu, mają bowiem co innego na głowie. Nasi dzielni chłopcy grali zapewne lepiej niż z Węgrami i Belgią, ale w dalszym ciągu ich akcją brak wykończenia: gubią się pod bramką przeciwnika. Kiedy nie strzela się goli, nie ma zwycięstw. Taka jest prawda. Dlatego przestrzegam trenera Kulesz przed euforią, a o postawie naszej drużyny będzie można kompetentnie wypowiedzieć się po meczu z Jugosławią. Osobiście życzę jej jak najlepiej, bo nie chciałoby się, by przeszłość polskiej piłki nożnej samą przeszłością była. Jasne, prawda?

Marek A. Jaworski

TEN wynik był bardzo potrzebny trenerowi kadry narodowej, Ryszardowi Kuleszowi: 2:2 w meczu z gospodarzem tegorocznych mistrzostw Europy — Włochami podreperował opinię o polskim futbolu, który znalazł się pod ostrzałem głównie prasy niesportowej. Włosi, żądni rewanżu za porażkę 1:2 w Mistrzostwach Świata rozgrywanych na terenie RFN, zapowiadali na stadionie w Turynie srogi odwet. Gdyby jednak polscy napastnicy wykazali więcej odwagi w atakowaniu bramki Dino Zoffa, można by było przywieźć z Italii nawet zwycięstwo. Trener Kulesza, powołując do reprezentacji narodowej blisko 30-letniego Andrzeja Szarmacha, zastosował manewr psychologiczny. Jak pamiętamy, piłkarz Stomilu Olsztyn, Arki Gdynia, następnie Górnika Zabrze, a obecnie Stali Mielec fantastycznym strzałem głową zmusił po raz pierwszy do kapitulacji włoskiego bramkarza we wspomnianych Mistrzostwach Świata w RFN. Teraz pokonał go po raz drugi w Turynie strzelając wyrównującą bramkę z rzutu karnego. Napastnik Stali Mielec rozegrał jednak w Turynie słaby mecz; nie był to ten sam Szarmach z Mistrzostw Świata w RFN. Podczas meczu w Turynie wielki piłkarski talent potwierdził dwóch polskich piłkarzy: Andrzej Pałasz z Górnika Zabrze i 28-letni Janusz Sybis ze Śląska Wrocław. Z dotychczasowych działań trenerów kadry narodowej wynikało, że piłkarz z Wrocławia „mały wzrostem — silny duchem” co najwyższej nadaje się do rozgrywania spotkań międzynarodowych z udziałem jedynie reprezentacji Malty, Cypru i Islandii. W meczu w Turynie Sybis dowiódł, że może występować przeciwko zespołom najwyższej europejskiej, a także światowej klasy. Po meczu z Włochami nie należy jednak wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Remis ze słabo grającą reprezentacją Włoch niczego jeszcze nie dowodzi. Przed trenerem Kuleszą i jego zespołem wiele pracy. Trener kadry, a rozmawiałem z nim niedawno, nie ukrywał ogromu problemów, które musi pokonać, aby zakwalifikować się do finału Mundialu 82 w Hiszpanii. Kulesza jest realistą i miejmy nadzieję, że do czasu eliminacji Mistrzostw Świata z drużynami Malty i NRD usunie wszystkie mankamenty i błędy w grze zespołu, którym kieruje.

Dla reprezentacji Włoch mecz z Polską był ostatnim i najważniejszym sprawdzianem przed piłkarskimi mistrzostwami Europy. Sprawdzenia ten wypadł nie najlepiej. Reprezentacja Włoch, wiekwo dość zaawansowana, z taką formą zapewne niewiele zdziała, nawet przed własną publicznością.

A na naszym lubelskim podwórku wszystko układa się zgodnie z planem założonym przez trenera Bronisława Waligóre. Jego zespół dokonał prawdziwego pogromu zwyciężając w Warszawie miejscowe Poloneza aż 5:0. Główny konkurent do I ligi warszawska Gwardia z trudem zremisowała 0:0 w meczu wyjazdowym w Stalowej Woli. Dzięki remisowi przewaga piłkarzy FSC nad warszawską Gwardią wzrosła już do 9 punktów. I wszystko wygląda na to, że przewaga ta nie tylko utrzyma się ale być może zostanie jeszcze powiększona. Trener Waligóra i jego zespół mogą spokojnie realizować plan awansu do ekstraklasy. Z gratulacjami wypada się trochę wstrzymać. Niemniej lubelscy kibice już się cieszą, że w sierpniu tego roku na stadionie przy AL Zygmuntońskich nastąpi inauguracja sezonu w ekstraklasie. Po raz pierwszy w swoich dziejach Lublin może będzie miał wreszcie zespół piłkarski w I lidze.

gorzej natomiast powiodło się piłkarzom ze Świdnika, którzy doznali w Krakowie porażki przegrywając z Cracovią 1:2. Świdniczanom przydałoby się przynajmniej trzy kolejne zwycięstwa, aby opuścić dolne rejony tabeli. Hal

Mieczysław Nowak

Myśli Lenina

Wolność Polski niemożliwa jest bez wolności Rosji.

☆
Szanujemy wolność Polski tak samo jak szanujemy wolność każdego innego narodu... Wiemy, że rozbiór Polski dokonany przez kapitał niemiecki, austriacki i rosyjski był największą zbrodnią. Nie chcemy wojny z powodu granic terytorialnych, gdyż pragniemy wyrwać z korzeniami tę przeklętą przeszłość, kiedy każdego Wielkorusa uważano za ciemiężcę.

☆
Wszystkie narody dojdą do socjalizmu, to jest nieuniknione, ale dojdą wszystkie niezupełnie jednocześnie, każdy wniesie coś swego do tej czy innej demokracji, do tej czy innej odmiany dyktatury proletariatu, do tego czy innego tempa przeobrażeń różnych dziedzin życia społecznego.

☆
Nie traktujemy bynajmniej teorii Marksa jako czegoś zakończzonego i nietykalnego; przeciwnie, przekonani jesteśmy, że założyła ona jedynie kamień węgielny tej nauki, którą socjaliści powinni rozwijać dalej we wszystkich kierunkach, jeżeli nie chcą pozostać w tyle za życiem. Sądzimy, że dla socjalistów rosyjskich szczególnie niezbędne jest samodzielne opracowanie teorii Marksa, teoria ta bowiem daje ogólnie tezy przewodnie, które w szczególności stosuje się inaczej do Anglii niż do Francji, inaczej do Francji niż do Niemiec, inaczej do Niemiec niż do Rosji.

☆
Towarzysz Rykow twierdzi, że socjalizm powinien przyjść z innych krajów o bardziej rozwiniętym przemyśle. Ale tak nie jest. Nie można powiedzieć, kto zaczął i kto skończy. Jest to nie marksizm, lecz parodia marksizmu.

☆
Każda rewolucja oznacza gwałtowny przełom w życiu olbrzymich mas ludu. Jeśli przełom taki nie dojrzał, to prawdziwa rewolucja dokonać się nie może. W czasie rewolucji miliony i dziesiątki milionów ludzi uczą się w ciągu każdego tygodnia więcej, aniżeli w ciągu roku zwykłego, sennego życia.

Repr. W. Stepień

Eugeniusz Jewtuszenko

W CHWILI SŁABOSCI

Gdy
w tępej błogości czasami
różne świństwa
przed oczami,
chcę skryć się
w dziewicze chaszcze,
gdziekolwiek —
choć w Indian paszcze.

Lecz nie ma dziewiczej puszczy.
Z Indian
zostały już szczytki.
I serce w trosce się tłucze,
jak przy wymieniu
cielątka.

Już wstyd,
na boga,
pomstować,
że tyle mętów,
podobno;
wstyd mi
przed czasem się chować —
trzeba go tworzyć
osobno.

Są różni, co się chowają:
kryją się w śmiechu
i w skąpstwie,
w drobnych świństewkach
kucają,
w grubego łgarstwa
potomstwie,

grzęzną w fałszywych kłopotach,
w tańcach,
czy w piłce,
czy w winie,
w wędkarstwie
i w anegdotach,
lub w kartografstwie,
w dominio...

Kryją się,
mały w kryjówek
W maszynach i w swojej willi,
w magnetofonach,
w gotówce,
w służbie,
kolegach,
familii...

Lecz wstyd mi —
i krzyk od początku —
kryć się w przyrodzie,
junacy,
czy w nieśmiertelnych książkach,
nawet w miłości
do pracy!

Ja wiem;
epoka złożona,
trudno się wyznać w tym życiu.
Lecz,
jeśli coś tam sknoczone,
trzeba
nie kryć się,
lecz bić się.

Nie bójka zawadiacka,
lecz całym narodem,
wspólnie,
z proletariatem Bratska,
z fizykiem,

z chłopem,
ogólnie!

I ja,
jeśli męczą zwątpienia,
szukając od nich wytchnienia,
idę,
wędrowiec,
do Lenina,
idę,
wędrowiec,
do Lenina...

Wiele już krajów widziałem.
Twardo się w jednym
wyznaję:
klęska jest naszym udziałem —
albo
braterstwo wszechkrajów.

I,
w najstraszniejszych minutach,
wierzę,
jak w odkupienie:
ludzkość,
po wielu pokutach,
zjednoczy
Lenin.

Przez wojny,
przez wykroczenia,
lecz stale,
bez odstąpienia,
zbliża się ludzkość
do Lenina,
zbliża się ludzkość
do Lenina...

Przełożył Andrzej Cosars

Życiorysy

Zygmunt Mańkowski

MA on być trwałym pomnikiem wystawionym tym wszystkim pionierom, twórcóm i uczestnikom polskiego ruchu robotniczego, których życie i działalność złożyły się na jego stuletnią historię, równocześnie zaś stanowiąc narzędzie pracy naukowej, bez którego trudno już dziś obejść się badaczowi dziejów nowożytnych ruchów społecznych... — tak oto zarekomendowano I tom „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego”, który ukazał się przed rokiem, a ze względu na niezwykle niski nakład (1650 egzemplarzy) od razu zniknął z półek księgarskich. Całość dzieła, koordynowanego przez Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego, zamierzona jest na około osiem tysięcy haseł zawartych w sześciu tomach. Wydany tom zawiera ich kilkadziesiąt i obejmuje biogramy do litery „D”.

Edycja tomu — warto to szczególnie uwypuklić przed Świętem 1 Maja — jest wydarzeniem dużej miary. Słowniki biograficzne działaczy robotniczych wyszły już w Związku Radzieckim, Francji, NRD oraz we Włoszech. U nas szczytnym się w tej mierze przede wszystkim pobliższym już przed II wojną światową „Polskim Słownikiem Biograficznym”, wydawanym przez Polską Akademię Nauk (po blisko 50 latach doszedł do litery „P”), a także „Ksiągę Polaków uczestników Rewolucji Październikowej”.

Zyciorysy w ogóle robią ostatnio furorę, skoro poczet królów polskich o nakładzie ponad 200-tysięcznym rozszedł się w mgnieniu oka i stał się przedmiotem swobodnego snobizmu. Przykłady można mnożyć. Wiele pism historycznych prowadzi działy biograficzne, a sam znam ludzi gromadzących klepsydry i nekrologi. Po prostu człowiek jest właściwie jedynym przedmiotem historii, a proces dziejowy niczym innym jak sumą pojedynczych ludzkich postaw, aktywności, dążeń...

Lektura słowników biograficznych skłania nieraz do różnego rodzaju refleksji i zadumy. Kim byli ludzie, którzy dzięki swym zdolnościom i większej niż u innych dynamice działania wybijali się ponad przeciętność? Kim byli ci, którzy ponad swe życie osobiste przekładali sprawy społeczne, oddając się swojemu całkowitemu? Z jakich kręgów społecznych i rodzinnych się wywodzili? Co skłoniło ich do wybrania trudnej drogi przeciwstawiania się zastalym stosunkom, warunkom, normom i naciskom? Jak wyrastali w swych działaniach na nieformalnych lub formalnych przywódców? Jakże trwały ślady pozostawili na drogach swej walki i cierpienia? Co im w istocie zawdzięczamy? Interesujący jest też ich psychologiczny obraz reszpotowy (elita zawsze stanowi swoistą emanację przeciętności).

Powróćmy jednak do I tomu „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego”. Kto dostał się na jego łamy? W tej mierze autorzy stanęli przed bardzo trudnym zadaniem. Wstępna kartoteka objęła aż 90 tys. nazwisk! Z tego według przyjętego kryterium (członkowie centralnych władz partii i organizacji robotniczych, delegaci zjazdów i kongresów, redaktorzy pism, członkowie władz terenowych itp.) odrzucono aż ponad 80 tysięcy! We wstępie do tomu zespół redakcyjny, usprawiedliwiając to założenie, mówi o wprost fizycznej niemożności prezentowania wszystkich, którzy byli członkami partii lub organizacji robotniczych. I to jest rzeczywiście sprawa nie do uniknięcia. Ale można wyobrazić sobie głęboki zawód, jaki przeżywają np. regionaliści, uczuleni tak bardzo na wszelkie przejawy związane ze swoją ziemią i ludźmi stąd się rekrutującymi. Dla nich nawet postać niewielkiego formatu godna jest utrwalenia i szerokiej popularyzacji!

Zamieszczone w tomie noty biograficzne są zwięzłe (maksymalna objętość biogramu 5—6 stron, przeciętna 1—2 strony), ale i w miarę wyczerpujące. Istotne, że każde z haseł zawiera wykaz źródeł, zapisy bibliograficzne, informacje ustne i rodzinne oraz imię i nazwisko autora hasła (do którego notabene można zwrócić się o dodatkowe informacje). W tej sytuacji każde hasło nie tylko nie zamyka drogi do dalszych dociekań, lecz przeciwnie, zestawiając najważniejsze dane, otwiera tym samym szanse dalszej docieklowości specjalistów, regionalistów czy historyków-amatorów.

Na tę sprawę godzi się zwrócić szczególną uwagę. Czytając bowiem tom, odczuwa się, że przed polską biografiką otwiera się ogromne pole pracy. Jako przykład podam fakt związany z postacią najbliższego współpracownika Ludwika Waryńskiego — Henryka Dulebę. Kiedy kilka lat temu odkryłem, że jego grób znajduje się w Wawolnicy, rozpocząłem ze słuchaczami seminarium magisterskiego poszukiwania. Wkrótce okazało się, że w Warszawie żyją jego najbliżsi krewni: 86-letnia siostrzenica bohaterki, Anna Duleba, jego siostrzeniec, profesor Politechniki Leszek Dulebski, a w Lublinie kurzydź — Tadeusz Margul (docent UMCS) oraz Ksibłeta Brzezińska. Wszyscy nie tylko przeszukali w pamięci tradycję rodzinną o bohaterze, ale i liczne przekazy źródłowe: akta urodzenia i śmiertelności, wyciągi z heraldyki itp., które pozwoliły na liczne uściślenia oraz zobudowanie dotąd skapej noty biograficznej Henryka.

Jako regionalista czytałem więc „Słownik” przede wszystkim pod kątem dziejów swojego regionu — Lubelszczyzny. Kto z działaczy, którzy urodzili się na niej lub związali się z nią swą działalnością, znalazł się w tomie? Jak często region występuje w notach? Czy rzeczywiście Lubelszczyzna (ta w

tradycyjnym pojęciu) była obszarem szczególnie aktywnym w dziejach ruchu robotniczego i czy dała krajowi stosunkowo dużo wybitnych działaczy?

Odpowiedź jest w zasadzie krzepiąca, choć nasuwa i minorowe wnioski. Przede wszystkim uświadomiamy, jak mało w naszym regionie zrobiliśmy w dziedzinie biografistyki, jak mało zadbałimy o gromadzenie śladów życia ludzi niegdyś aktywnych, zasłużonych i zasługujących na zbiorową pamięć. W tomie z rzadka autorzy haseł powołują się na prace (biogramy, nekrologi, zarysy) lubelskich historyków, a wśród autorów haseł i tomu pojawia się tylko dr Emil Horoch. Wiem jednak, że Biblioteka im. H. Łopacińskiego już od wielu lat prowadzi teczki biograficzne ludzi szczególnie zasłużonych dla regionu i praca ta wydaje mi się nie tylko celowa i wartościowa, ale wręcz niezbędna. Nasz region nie zdobył się do tej pory na analogiczne do inicjatywy poznaniaków dzieło „Wielcy Wielkopolanie”. Przed dwoma laty, idąc tym śladem, Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego rozpoczął cykl odczytów poświęconych właśnie wybitnym lublinianom, lecz ta cenna inicjatywa pozostała bez konsekwencji wydawniczej, a co gorzej — nie jest już kontynuowana. Istniały i istnieją również przedsięwzięcia o charakterze indywidualnym. Ogromną wiedzę (i zbiory) w zakresie biografistyki posiada inż. Henryk Gawarecki, z pasją oddaje się temu zajęciu dr Jerzy Markiewicz z Bilgoraja, znakomite wysiłki czynią regionaliści hrubieszowscy... Wciąż jednak to za mało. Zupełnie nie rozwinięto pomysłu sporządzenia (na wzór książki o cmentarzu powązkowskim w Warszawie) monografii cmentarza przy ulicy Lipowej w Lublinie itd. itd.

Konstatacja w tej mierze jest prosta i powinniśmy dążyć wszelkimi metodami do utrwalenia w pamięci pokoleń sylwetek wszystkich ludzi, którzy z przyczyn ideowych przejawili na drogach swojego życia aktywność i żarliwość, którzy zapisali w dziejach regionu czy kraju karty znaczące i godne upamiętnienia. Nigdy nie powinni być zapomniani!

Wobec bardzo niskiego nakładu „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego” warto przedstawić choćby kilka sylwetek działaczy, których biogramy znalazły się w tomie, a o których dotąd niewiele wiedzeliśmy. Może to zachęci regionalistów, nauczycieli historii czy młodzież do uważnego przestudiowania tomu i poszukiwania się nim w bieżącej pracy. A oto streszczenie wybranych haseł — biogramów.

Antoni Albrecht, urodzony w 1884 roku w Zamościu w rodzinie robotniczej, z zawodu szewc. Podczas rewolucji 1905—7 roku związał się z Polską Partią Socjalistyczną, wступując do jej Oddziałów Bojowych. W 1918 roku przeszedł do SDKPiL, zakładając w Zamościu pierwsze koło tej partii. W tym też roku był organizatorem powstania zbrojnego, dążącego do dokonania przewrotu o charakterze rewolucyjnym. Aresztowany w 1919 roku zbiegł z więzienia i ukrył się w Łodzi, gdzie działał aktywnie w KPP. W 1923 roku sądzony był w Zamościu za całokształt swej nielegalnej działalności i skazany został na 4 lata twierdzy. Później wrócił do Łodzi, gdzie dalej działał w ruchu, by w okresie okupacji hitlerowskiej zginąć w walce na dworcu kolejowym w Łodzi w 1940 roku.

Oto **Franciszek Baryla**, urodzony w Zawalewie w pow. hrubieszowskim w rodzinie chłopskiej. W 1929 roku wyemigrował do Kanady, gdzie związał się z ruchem komunistycznym i polonijnym. Działał m.in. w Ontario oraz Polskim Towarzystwie Ludowym w Kenorze. W 1937 roku walczył jako ochotnik, dowódca plutonu ochrony sztabu, zastępca oficera inspekcyjnego w słynnej XIII Brygadzie Międzynarodowej w Hiszpanii. Po kampanii powrócił do Kanady i został członkiem Komitetu partyjnego na Kanadę Zachodnią. W 1942 roku zaciągnął się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, wступując jako ochotnik do I Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Działał w tym czasie w rewolucyjnej organizacji w Anglii „Jedność i Czyn”. Walczył w Normandii, gdzie odniósł rany. Po wojnie wstąpił do PPR, powrócił do kraju, by tu pełnić funkcje oficera LWP, oficera Sztabu Głównego Marynarki Wojennej, pracownika Zarządu Portu Gdynia, pracownika KW MO. Zmarł w Gdańsku w 1969 r.

Nieco inną barwę miało życie **Józefa Becka**, urodzonego w 1867 roku w Białej Podlaskiej w rodzinie urzędniczej. Po ukończeniu szkół i poznaniu zasad ruchu socjalistycznego wraz z Julianem Marchlewskim był współzałożycielem Związku Robotników Polskich, rewolucyjnej partii zapelniającej lukę między Wielkim Proletariatem a SDKPiL. Był też aktywnym działaczem trw. Kas Oporu, więźniem caratu, by po I wojnie światowej stać się wybitnym działaczem samorządowym i spółdzielczym. W tym ruchu m.in. pełnił w latach 1918—19 w Lublinie funkcję dyrektora Stałego Prezydium Zjazdów Sejmikowych, a po wyjeździe do Warszawy Prezesa Związku RP, członka Try-

banalu Stanu oraz wydawcy i redaktora pisma „Samorząd Terytorialny”. Był też autorem kilku książek i wielu artykułów na temat samorządu i spółdzielczości. Zmarł w Warszawie w 1931 roku, żegnany wieloma nekrologami, w tym pióra Ludwika Krzywickiego. Był ojcem późniejszego Ministra Spraw Zagranicznych.

Oto **Kazimierz Paweł Bojarski**, urodzony w 1889 roku w Zemborzycach w rodzinie małopolskiego chłopca, od młodości związany z Polską Partią Socjalistyczną, członek słynnych Oddziałów Bojowych tej partii, uczestnik licznych akcji zbrojnych przeciwko aparatowi caratu, w tym pod Kraśnikiem, w Rejowcu, Świdniku, Pawłowie i Tumulinie. Kierował zamachami w Lublinie na przystawę Saksa (5.IV.1908) oraz żandarma Ochrymienkę (29.IV.1908). Po tym poszukiwany działał jako bojowiec PPS w Krakowie i Lwowie, biorąc m.in. udział w akcji na furgony pocztowe pod Krasnymstawem i Rejowcem (w 1910 r.). Po wybuchu I wojny działał w Związku Strzeleckiego i żołnierz Legionów Polskich. Poległ w bitwie pod Łowczówkiem 23.XII.1914 roku w randze kapitana, jako dowódca batalionu.

Jeszcze krótszy zyciorys ma **Ludwik Ciupa** z Lublina, wybitny członek Oddziałów Bojowych PPS. Aresztowany w 1908 roku i oskarżony o udział w licznych akcjach zbrojnych, zginął na stokach cytadeli warszawskiej na szubienicy 28.XII.1909 roku.

Niezmiernie ciekawą postacią był **Mikołaj Czerniuchewicz**, urodzony w 1876 roku w powiecie chełmskim, syn nauczyciela wiejskiego. Po ukończeniu gimnazjum w Chełmie oraz studiów wyższych prawniczych w Moskwie, początkowo pracował w Czernichowie, gdzie związał się z Socjaldemokracją rosyjską, z ramienia której kandydował do carskiej Dumy. Na początku XX wieku pracował jako obrońca sądowy w Moskwie, był też tam działaczem Spółdzielczości i Związku Pracowników Książki. W 1910 roku podjął pracę jako adwokat w Lublinie, łącząc tę funkcję z wykładami historii w polskim prywatnym gimnazjum im. St. Szaszcza. Działał w lubelskim Związku Zawodowym Metalowców oraz miejscowej spółdzielczości. Został członkiem SDKPiL. Od 1915 roku pracował w Moskwie, niezwykle aktywnie uczestniczył w rewolucji socjalistycznej, a po jej zakończeniu pełnił m.in. funkcję przewodniczącego Rady Sędziów Ludowych, członka Kolegium Komisariatu Ludowej Sprawiedliwości Rosyjskiej Federacji, był zastępcą członka CKW partii, kierownikiem Centralnego Urzędu Statystycznego RFSRR, członkiem Sądu Najwyższego ZSRR, działaczem rewolucyjnej Polonii w ZSRR. Bezpodstawnie aresztowany, zginął w 1938 roku, by po latach zostać w pełni rehabilitowanym.

A oto zupełnie zagadkowe losy mieszkanka Kurowa **Jana Diupery**, pseudonim „Chlebowski” i „Jacek”. Urodził się w 1888 roku w Kurowie w rodzinie małopolskiego chłopca. Od wczesnej młodości wraz z ojcem działał w PPS-ie, by już w 1904 roku znaleźć się w szeregach SDKPiL. W ich domu pracowała tajna drukarnia partii, a Jan Diupero brał udział w próbie wywołania w 1905 roku w Puławach powstania zbrojnego. Aresztowany wkrótce za agitowanie do demonstracji, znalazł się aż w Odessie, skąd wkrótce powrócił i działał w Bochońcu. W 1915 roku został aresztowany i wraz z 33-osobową grupą lubelskich działaczy, po śledztwie w więzieniach w Lublinie i Moskwie, został zesłany do Niznego Nowogrodu. W czasie rewolucji w Rosji działał w szeregach polskich rewolucjonistów, pełniąc m.in. funkcję członka Komitetu Głównego Lewicy Wojskowych Polaków w Rosji, pracownika Wydziału Wojskowego Komitetu do Spraw Polskich oraz w redakcji „Sprawa Żołnierska”. Po powrocie do kraju krótko przebywał w więzieniu, aby natychmiast po odzyskaniu wolności wejść do Rady Delegatów Robotników Folwarcznych, Bezrolnych i Małopolskich Chłopów, gdzie pełnił funkcję sekretarza Rady Okręgowej. Był też redaktorem odpowiedzialnym „Władomości Rady Delegatów Folwarcznych”, działał aktywnie w KPRP, kółkach rolniczych i spółdzielczości. Po tym nagle znalazł się w szeregach Narodowej Demokracji, by w okresie okupacji hitlerowskiej być posądzonym „o gorliwe wysługiwanie się okupantowi”. Zmarł w 1959 roku, a jego zyciorys wymaga głębszego wyjaśnienia.

Zawile też były drogi syna lubelskiego kupca **Stefana Drzewieckiego** vel Drzewieskiego vel Bernarda Mandelbauma, wybitnego działacza SDKPiL, absolwenta wyższych uczelni w Genewie (prawo) i Paryżu (literatura), uczestnika Rewolucji Socjalistycznej w Rosji, później aktywisty KPP, działacza Związku Nauczycielstwa Polskiego, teoretyka polskiej szkoły i wychowania obywatelskiego, autora wielu prac, w tym i o rewolucji 1905 roku w Lublinie. W latach II wojny światowej pracował w Rządzie Polskim na Emigracji, a później z ramienia Polski Ludowej w ambasadzie w Paryżu i UNESCO. W tym czasie związał się jednak z masonerią francuską, nie powrócił do kraju i zmarł w 1953 roku w Paryżu.

Dodajmy jeszcze jedno. Mimo przyjętych przez zespół redakcyjny kryteriów, w tomie zabrakło przynajmniej kilku wybitniejszych działaczy regionalnych, jak np. członków kierownictwa Lubelskiej Rady Delegatów — Feliksa Dubickiego, Teofila Czarkowskiego czy choćby zmarłego przed kilku laty Antoniego Budy. Brak też (a tu kryteria zaliczenia powinny być inne) kilku dowódców oddziałów GL i AL, w tym dowódcy OK IV Mieczysława Bakuna oraz dowódcy oddziału GL, zamordowanego pod Borowem **Wacława Doboszcza** pseudonim Sek...

Tom I „Słownika działaczy polskiego ruchu robotniczego” pobudza do różnych refleksji, a skłania do jednej najważniejszej: usilnego i żarliwego zajęcia się sprawami biografistyki. I jest to już bardzo wiele.

JAK już wspomniano, zarówno w Chinach, jak i na terenie obydwa Ameryk, a przede wszystkim w Indiach istnieją legendy o kolosalnym konflikcie, który zdarzył się w dalekiej głębi wieków. Na tych obszarach powinny więc także znajdować się dowody materialne tego kataklizmu.

Jeszcze w początkach ubiegłego stulecia znaleziono pierwsze ślady protoindyjskiej kultury, kiedy podczas budowy kolei w pobliżu osady Harappa napotkano na zwęglone ruiny jakiegoś starożytnego miasta. O mieście tym wspomina znany badacz De Camp, pisząc, że musiało być poddane działaniu bardzo wysokiej temperatur. Ruiny te obejmują bowiem olbrzymie stopione razem, jakby wydrażone w środku bryły nierozdzielnych blachy żelaza, żelazna stopiona stal.

Na południe od tego miejsca urzędnik brytyjski J. Campbell odkrył podobne ruiny. Szereg innych podróźników opisywało pozostałości budynków wzniesionych z niezwyklej materii, przypominających grube płyty kryształu. I one również, podziurawione i potrząskane, nosiły na sobie ślady działania wysokich energii termicznych.

Jednak dopiero po upływie stu lat, w roku 1921, podjęto systematyczne badania tajemniczych ruin. Prace wykopaliskowe odkryły duże miasto, dobrze rozplanowane, z szerokimi ulicami i doskonałą siecią kanalizacyjną. Późniejsze badania pozwoliły na stwierdzenie, że według podobnego planu budowano i inne odkryte przez archeologów starożytne miasta na obszarze doliny Indusu: Mohendzo-Daro (co oznacza „Osiedle martwych”), Czanh-Daro, Amri Lothal i szereg innych. W wykopaliskach archeologicznych znajdowano szkielety ludzkie noszące znamiona gwałtownej śmierci. Szkielety te są najbardziej radioaktywnymi ludzkimi szczątkami, jakie kiedykolwiek znaleziono i przebadano przed tragedią Hiroshimy. A Gorbowski („Zagadki historii starożytnej”. Moskwa 1968) podaje, że radioaktywność znalezionych szkieletów przekraczała 50-krotnie poziom normalny.

Z pewnością pod ruchomymi płaskami pustyni ukrywać się musi wiele rzeczy, których istnienia do niedawna nawet nie podejrzewaliśmy. Użyteczne, być może, okazałoby się przebadanie tych obszarów, chociażby tylko z punktu widzenia natężenia promieniowania radioaktywnego. Nie ulega wątpliwości, że natężenie to mogło obniżyć się po upływie wielu tysięcy lat do poziomu tła, istnieją jednak szanse znalezienia pewnych śladów pochodzących badając od izotopów o najdłuższym okresie życia. Podobnie dżungle Indii oraz centralnej i południowej Ameryki ciągle stanowią obszar nieprzebadany, istnieje tam szereg regionów, na których nie stanęła jeszcze stopa białego człowieka. A przecież te tajemnicze tereny zawierają klucze do rozwiązania zagadek naszej przeszłości.

A może piramidy egipskie ukrywają w sobie rozwiązanie problemu jądrowego konfliktu zamierzchłej przeszłości? Ekipa uczonych kairskiego Uniwersytetu Ein Shams, pracująca

pod kierunkiem dr Luisa Alvareza — zdobywcy nagrody Nobla w dziedzinie fizyki — umieściła detektor promieniowania kosmicznego we wnętrzu piramidy Cheopsa, u jej podstawy, aby sprawdzić, czy w piramidzie znajdują się jeszcze jakieś nieznanne komory. Całość przedsięwzięcia odbywała się pod auspicjami Uniwersytetu Ein Shams w Kairze, amerykańskiej Komisji do spraw Energii Atomowej oraz Smithsonian Institute. Pomiar prowadzono przy założeniu, że jednorodny strumień promieniowania kosmicznego, przenikając przez piramidę i natrafiając w jej wnętrzu na pustą przestrzeń, przechodzić będzie przez nie z większą łatwością, co zostanie zarejestrowane przez detektor.

aby ona przedłużone wyniki uzyskana podczas badań promieniowania kosmicznego wewnątrz i w pobliżu piramidy.

Znacznie przecież możliwość, że piramidy, będąc schronami i dysponując wszystkimi cechami, których wymaga się od tego typu budowli, są także zabezpieczone przed promieniowaniem. Wydaje się również, że niezależnie od tego, jakich środków użyto dla zapewnienia piramidom tej własności, środki te czy mechanizmy funkcjonują w dalszym ciągu w chwili obecnej. Czyżby więc istniał i działał ciągle jeszcze, sugerowany przez Andrewa Tomasa w jego książce pt. „Nie jesteśmy pierwsi”, jakiś generator umieszczony gdzieś pod piramidami?

Atomowa wojna bogów (III)

Aleksander Mora

Badania trwały ponad rok, przy czym aparatura pracowała bez przerwy, rejestrując promieniowanie przez 24 godziny na dobę, wyniki natomiast przekazywane były bezpośrednio do uniwersyteckiego komputera IBM 1120. Kiedy komputer podał dane końcowe, zdumienie ogarnęło uczonych. Okazało się, że zapisy natężenia promieniowania kosmicznego, pochodzące z kolejnych dni pomiaru, wykazywały zupełnie odmienny charakter i były kompletnie ze sobą nieporównywalne. Dr Amr Gohed, odpowiedzialny za funkcjonowanie całej instalacji elektronicznej, oświadczył: *Z naukowego punktu widzenia jest to niemożliwe. Musi tu istnieć jakaś tajemnica, której nie jesteśmy w stanie wyjaśnić. Istnieje jakaś tajemnicza siła w piramidach, która przeciwstawia się znanym prawom nauki.*

Dla starożytnych Egipcjan piramidy także stanowiły zagadkę, dlatego, opierając się na legendach, przypuszczano, że nie są one grobami, lecz miejscem schronienia skonstruowanym na wypadek wielkiej katastrofy. I to niekoniecznie dla ludzi, chociaż niektórzy ludzie mogliby się tam schronić, ale służącym najprawdopodobniej przede wszystkim zachowaniu i zabezpieczeniu wiedzy i informacji. Jeśli katastrofa przybrała formę kataklizmu wywołanego przez człowieka, wówczas ta hipoteza zyskuje na znaczeniu, ponieważ wyjaśnia-

Takie urządzenie zapewne musiałoby znajdować się bardzo głęboko pod piramidą, znacznie głębiej, niż sięgały dotychczas prowadzone prace wykopaliskowe. Trudno powiedzieć, jaki ono mogłoby mieć kształt, czy też jak można by je wykryć, ponieważ urządzenie takie przekracza jeszcze możliwości naszej współczesnej technologii.

Piramidy ciągle kryją w sobie niewyjaśnione tajemnice i przejawiają zagadkowe cechy, a pomimo tego istnieją ludzie, którzy twierdzą, że są one jedynie grobami faraonów. Nie oznacza to, że zgodzić się należy z wymyślnymi historiami, które opowiada się na temat ich budowy. Na przykład, że wysokość wielkiej piramidy Cheopsa, pomnożona przez milion, daje nam w wyniku odległość ziemi od słońca. Podaje się także cały szereg innych lezb, które wskazywać mają rozmaite wielkości charakterystyczne, takie jak długość roku, wielkość miesiąca księżycowego czy wagę kuli ziemskiej. Wysuwają się również przypuszczenia, że piramidy zbudowane były przez Noego po potopie, że zbudowali je kosmici lub że zbudowane zostały według instrukcji kosmitów, albo też, że stanowią one punkty orientacyjne lub drogowskazy dla astronautów przybywających na ziemię z innych planet.

Pogląd, iż cała ludzka wiedza ukryta jest gdzieś w piramidach, nie mu-

si być zupełnie dzwawczy, chyba jednak słuszniej będzie powiedzieć, że choć wiedza starożytność świata została tam umieszczona, to jednak już jej tam nie ma. Wiele hipotez i interpretacji narodziło wokół piramid egipskich w ciągu ostatnich 100 lat, zaś prawda leży prawdopodobnie gdzieś pośrodku, pomiędzy przypuszczeniami zupełnie fantastycznymi a całkowicie prozaicznymi.

Zdecydowanie odrzucić trzeba teorię i sugestie pozbawione podstaw, nie można się jednak także zgodzić z absurdalnym poglądem, że te kolosalne konstrukcje postawione zostały przez grupę ludzi zaopatrzonej jedynie w prymitywne narzędzia, bez transportu kołowego, dźwigów, wyciągów, kołowrotów i innych urządzeń. Że zbudowano je w kraju, który w okresie budowy piramid był prawie niezamieszany (całkowitą populację szacuje się na około 2 miliony ludzi), nie posiadał miast i rzadka tylko pokryty był niewielkimi wioskami.

Znacznie bardziej uzasadniony wydaje się pogląd, że piramidy, a szczególnie rozległa ich grupa umiejscowiona na płaskowyżu w Gizie, pochodzą z okresu przedegipskiego. Zbudowane zostały nie jako budowle o przeznaczeniu sakralnym lub po to, aby przechowywać cieżkie zwłoki wielkich przywódców, lecz stanowiły urządzenia ochronne przeznaczone właśnie do zabezpieczenia zdobyczonej wiedzy. Wiele spośród tych urządzeń mogło zostać zużytych przez „nośników kultury”, którzy pojawili się, aby z powrotem do cywilizacji doprowadzić prymitywnych potomków tych, którzy zostali przy życiu po katastrofie.

Wśród wszystkich piramid egipskich — a znamy ich około 70 — nie istnieje ani jedna, w której stwierdzono by bez żadnej wątpliwości, że odbył się w niej pochówek. Wszyscy faraonowie, a szczególnie najwięksi i najpotężniejsi władcy jak Ramzes II i Thutmosis III, pochowani byli w sławnej Dolinie Królów. Zdziwiająco, jak wielu ludzi jest przekonanych, że zmumifikowane zwłoki faraonów zostały odkryte w obrębie piramid. Przekonanie to opiera się prawdopodobnie na pewności, z jaką niektórzy archeolodzy wypowiadają opinie, że piramidy są grobami władców Egiptu.

Jeśli najwięksi i najslawniejsi władcy Egiptu zostali pochowani w sławnych grobowcach w Dolinie Królów, to dlaczego przyjmuje się, że mniej znani i nie zawsze realnie istniejący (starożytna lista panujących Manetho nie zawiera imienia Cheopsa) pochowani zostali w tych ogromnych budowlach, rzekomo wnieślionych tak ogromnym wysiłkiem i znojem ludzkim?

Egiptolodzy wydają się znajdować pod przemożnym wpływem przekazów dostarczonych przez wielkiego podróżnika starożytności — Herodota. Ale Herodot opisywał to, co powiedział mu uczeń i kapłan, jakich napotykał na trasach swych wędrowek. Piramidy już wówczas liczyły sobie kilka tysięcy lat i stanowiły dla Egipcjan zagadkę w nie mniejszym stopniu niż są nią dla nas dzisiaj.

(c.d.n.)

W KRĘGU JANA ZAMOYSKIEGO

Pogrzebowe theatrum

Jerzy Kowalczyk

KROTKIE było życie Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną (artykuł o ceremonii ich zaślubin w poprzednim numerze „Kamenu”). Trwało niewiele ponad dwa lata. Zamoyski otoczył swą małżonkę z książęcego rodu przepychem godnym jej wysokiego urodzenia. Świadczą o tym liczne wydatki na biżuterię i luksusowe naczynia srebrne służące do toalety. Młodzi mieszkali w Warszawie (w dziekanii) oraz w Knyszynie. Zamoyski, młanowany w trzy miesiące po ślubie kanclerzem wielkim koronnym (I. III. 1578 r.) bardzo wiele czasu poświęcał sprawom publicznym, towarzysząc królowi w ciągłych

jego podróżach po kraju w związku z przygotowaniami do wojny z Moskwą.

Choć związek małżeński Jana Zamoyskiego z Radziwiłłówną zawarty został chyba z politycznego wyrachowania, nie był pozbawiony ludzkiego uczucia miłości i tęsknoty. Mimo ogólnie panującej oficjalnie konwencji wśród przedstawicieli arystokracji, nawet w korespondencji rodzinnej, listy Zamoyskiego do żony pozbawione były sztywnej etykiety. Zaczynał je z uczuciem, pisząc: *Moje najmilsze serce*, a kończył słowami: *WM. uprzejmy małżonek Zamoyski*. Do obozu wojennego pod Połockiem przesyłała kanclerzowi troskliwa małżonka nieco przysmaków: krupki i owoce — czereśnie, wiśnie i pomarańcze, którymi częstował króla. W obozie wojennym dowiedział się, że Krystyna spodziewa się dziecka.

Owocem pożycia in concordissimo matrimonio (w najgodniejszym małżeństwie) były narodziny córki w początkach lutego 1580 r. w Warszawie. Nadano jej imię Elżbieta, które nosiła babka po kądzieli z domu Szydłowiecka, żona Mikołaja Radziwiłła Rudego.

Krystyna Zamoyska podzieliła jednak los wielu młodych kobiet, które umierały po urodzeniu pierwszego dziecka wskutek gorączki popołogowej. W omawianym wypadku sytuacja była o tyle bardziej skomplikowana, że Krystyna chorowała na gruźlicę i męczyły ją nieustanne ataki duszowego kaszlu. Lekarze byli bezradni. Nie pomogły też lekarstwa przygotowane przez warszawskich aptekarzy Andziola i Antoniego. Śmierć nastąpiła rano po północy z 28 na 29 lutego 1580 r.

Zbliżający się okres rozwiązania, urodziny dziecka, choroba i śmierć Krystyna zatrzymały Jana

Zamoyskiego w Warszawie. Wstrząśnięty śmiercią swej młodej, zaledwie dwudziestoletniej małżonki, popadł w stan depresji i rezygnacji wobec tragicznego losu, który uczynił go po raz drugi wdowcem (w wieku 38 lat). Pełen głębokiego smutku i rozpacz, ale i pokornego poddania się woli opatrzności, w kilka godzin po śmierci Krystyny pisał do jej brata, Jerzego Radziwiłła, biskupa wileńskiego:

Zal i smutek mój wielki, którem z dopuszczeniem Pana Boga Wszchemogącego, za co jemu cześć i chwala niechaj będzie, nawiedzony jestem, oznajmuje W. M., memu m. Panu, to jest, iż to, com ja na świecie namiłszego w towarzystwie nierozdzielnym żywota swego miał, małżonkę bogobojną, uczciwą, wstydlivą, pokorną, powolną i postuszną, wziąć mi i z tym światem nocą poszłej po dwunastej na wółczegaru godzinie rozłączyć raczył. I chociaż vulnera fortunae et adversitates vitae humanae (ciosy losu i przeciwności życia ludzkiego) uczyłem się jako tako cierpliwie znosić, jednak ten teraźniejszy przypadek taką mi żalostą przyniósł — żem od niego jest prawie prostratus (powalony). Za co wszystko jednak Panu Bogu, z której woli świętej to się stało, dziękuję.

Śmierć żony — to nie tylko wielka strata dla Zamoyskiego z powodu niezmierniej i odwzajem-

Dokończenie na str. 6-7

Kamena str. 5

NAZWISKO prof. dr. Piotra Zaremby stało się dzisiaj dla historyków i publicystów symbolem powojennej polskości Szczecina. Prof. Piotr Zaremba, przewodniczący WK FJN, rektor Politechniki Szczecińskiej w latach 1963-1965, później kierownik Katedry Budownictwa Miast i Osiedli PS, od roku 1945 do 1950 prezydent miasta Szczecina, tak wspomina w swojej książce pt. „Pierwszy szczeciński rok 1945” dzień 30 kwietnia 1945 r. w tym miesiącu:

Jechaliśmy środkiem ulicy Krzywoustego, między torami tramwajowymi. Nad ciężarową łopotala ogromna biała - czerwona chorągiewa, którą z trudem trzymało kilka chorągwiarzy; chłopaki zaczęli głośno śpiewać Rotę. Wjechaliśmy na plac Zwycięstwa, skłaniając w jego północną stronę. I tu spotkaliśmy pierwszego mieszkańca Szczecina - starą kobietę, wolno idącą z wiadrami do narażonej wojennej studni u-licznej. Na nasz widok zmartwiła - ale nie chciała zacząć uciekać, poruszyła się na jedną stronę, z wyciągniętymi rękami pobięła przez plac uprost nam na spotkanie. Katałem przystając. Siwa staruszka nie mogła złapać tchu, wykrzykując coś bezładnie. Wysiadłem, pytając po niemiecku, czego chce. Odpowiedziała po polsku, że z mężem Janem Łabędziem mieszka od trzydziestu lat w Szczecinie, że słyszała już dawno, iż Polacy wejdą do Szczecina i że pierze ze struszenia na widok polskiej chorągwi (...).

I tak na wysłużonej, żołnierskiej ciężarówce, witana przez panią Łabędziową, wróciła Polska do Szczecina. Wróciła po siedmiu wiekach dramatycznych zmaganiach zachodniej Słowiańszczyzny i grabieżczym „Drang nach Osten”.

W granicach państwa Mieszka I Szczecin znalazł się około roku 970, stanowiąc odtąd wraz z całym obszarem nadodrzańskim ważny bastion obrony przeciw agresywnym poczynaniom feudalów niemieckich. Wpływy polskie były w tym czasie na Pomorzu Zachodnim bardzo silne.

Aż po schyłek wieku XII gród szczeciński wraz z całym Pomorzem Zachodnim niemal bez przerwy znajduje się w zależności politycznej od władców Polski. Zależność tę umacnia Bolesław Krzywousty, wysyłając w 1124 roku na Pomorze Szczecińskie pierwszą wyprawę misyjną, prowadzoną przez biskupa bamberskiego, Ottona. Zawile losy Szczecina osiągnęły swój słowiański finał w roku 1637 - w dniu bezpotomnej śmierci nieszczęsnego księcia szczecińskiego Bogusława XIV. Szczecin został odcięty od macierzy.

Następuje okres kilkunastoletniej kurateli szwedzkiej nad Pomorzem Zachodnim - i w roku 1648, w wyniku pokoju westfalskiego, podział Pomorza Zachodniego. Szczecin z ujściem Odry oraz ziemie pomorskie na zachód od rzeki przypadają Szwedom. Resztę Pomorza aż po Słupsk zagarnia Brandenburgia. Anno 1720 państwo pruskie dokonuje z państwem szwedzkim kolonialnej transakcji handlowej: za cenę 20.000 talarów Szczecin staje się własnością króla Prus. Była to transakcja równoznaczna z wyrokiem. Miasto zostało skazane. Mury niemieckiego więzienia miały runąć dopiero po przeszło dwóch wiekach, strąskane pociskami artylerii 85 armii generała Pawła Iwanowicza Batowa.

II wojna światowa nie oszczędziła Szczecina. W wyniku nalotów i bezpośrednich działań wojennych legła w gruzach dzielnica staromiejska z głównym centrum handlowym oraz dziel-

nice robotnicze o zwartej zabudowie. Zniszczeniu uległy wszystkie bez wyjątku zakłady przemysłowe.

Trudne były pierwsze miesiące i pierwsze lata polskiego Szczecina. Polskie władze kilkakrotnie przenosiły się do Koszalina i Stargardu, aby dopiero po 5 lipca 1945 roku na mocy postanowień Układu Poczdamskiego na trwałe zamieszkać się w granicach Szczecina. To głównie dzięki zdecydowanej postawie i uporowi pierwszej pionierskiej grupy Polaków polskość zaczęła tu zapuszczać głębokie korzenie od pierwszych dni wyzwolenia. Pod koniec 1945 roku Szczecin liczył około 3.000 Polaków, aby dziś dojść do 365.000.

Tak, początki nie były łatwe. Kredyty inwestycyjne kapali dla Szczecina bardzo skąpo. Dotyczyły one

przed wszystkim specjalna uchwała Biura Politycznego KC PZPR i Rady Ministrów w sprawie stworzenia warunków kompleksowego rozwoju województwa. Szczecin i całe Pomorze Zachodnie otrzymało dzięki tej uchwale środki, pozwalające na określenie perspektywicznych kierunków rozwoju społeczno - gospodarczego. Położono nacisk na rozwój gospodarki morskiej, przemysłu przyportowego, wysoko towarowego rolnictwa i turystyki.

W mijającym dziesięcioleciu inwestuje się w gospodarkę województwa blisko 190 miliardów złotych, tj. prawie czterokrotnie więcej niż w latach sześćdziesiątych i więcej też niż w całym pierwszym ćwierćwieczu Polski Ludowej. Zbudowano i zmodernizowano na Pomorzu Zachodnim od 1971 roku około stu zakładów przemysłowych,

większą rolę. Przeladunki w Zespole Portowym Szczecin - Świnoujście wzrosły z 16,5 mln ton w 1970 roku do blisko 25 mln w roku ubiegłym. Flota Polskiej Żeglugi Morskiej wzbogaciła się w tym czasie o ponad 60 nowych jednostek, zaś nośność statków tego armatora wzrosła prawie trzykrotnie - do 3,2 mln DWT. Dalszej rozbudowie uległo zaplecze lądowe rybołówstwa i floty rybackiej.

Jeszcze u progu lat siedemdziesiątych województwo szczecińskie pod względem produkcji rolnej było deficytowe. Obecnie jest liczącym się w kraju dostawcą produktów rolnych i ich przetworów.

Tak oto w okresie minionego trzydziestopięcioletniego wpisanego na mapę Polski, a więc i Europy, ogromne wartości, których nie potrafiono tutaj wytwarzać nigdy przedtem. Przekreślone zostały niechlubne tradycje „Hinterlandu”.

Szczecin morski i przemysłowy jest dzisiaj na mapie gospodarczej Polski faktem tak oczywistym, że udowadnianie go staje się zabiegiem przypominającym przysłowiowe wyważanie otwartych drzwi. Ale trzeba też przypomnieć - trawstując znane powiedzenie - że i Szczecin nie od razu został odbudowany.

Przypomnijmy więc, że w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego do roku 1955 niewiele się w Szczecinie budowało. Dopiero okres po 1955 roku przyniósł w tej mierze istotny przełom. W latach 1950-1978 wybudowano w Szczecinie ponad 150.000 nowych izb mieszkalnych, chociaż do zaspokojenia głodu mieszkaniowego nadal jeszcze daleko.

Awans miasta mierzony jest wszakże nie tylko stopniami rozwoju przemysłu i dynamiką budownictwa mieszkaniowego, lecz w równym stopniu poziomem jego życia umysłowego, jego nauki i kultury. Dlatego już na pierwszej sesji WRN, 14 czerwca 1946 roku zapada decyzja o utworzeniu Politechniki i Szkoły Handlu Zagranicznego. Dzisiaj Szczecin jest jednym z poważnych ośrodków akademicko-naukowych w kraju. Na pięciu wyższych uczelniach - Politechnice Szczecińskiej, Akademii Medycznej, Akademii Rolniczej, Wyższej Szkole Morskiej i Wyższej Szkole Pedagogicznej - studiuje obecnie ponad 16.000 studentów.

Harmonijny i wszechstronny rozwój miasta wyznaczony jest także poważnymi i trwałymi osiągnięciami w dziedzinie kultury. Szczecin zajmuje niezmiernie czołowe miejsce w kraju w wydawnictwie i zakupie prasy i książek, wysokiej frekwencji w teatrach, kinach i na imprezach estradowych.

Największą jednak zdobyczą szczecińskiego trzydziestopięcioletnia jest niespotykany awans ludzi pracy w najszerszym pojęciu tego słowa.

Są w tym miesiącu tysiące młodych ludzi w wieku niewiele ponad czterdziestkę, na stanowiskach dyrektorów, naczelnych inżynierów, kierowników wydziałów produkcyjnych, sprawujących odpowiedzialne stanowiska w aparacie partyjnym i administracji państwowej. Wraz z burzliwym rozwojem miasta wyrosli ludzie, którzy potrafią sprostać wynikającym z tego rozwoju odpowiedzialnym zadaniom.

Miasto odrodzone

Zdzisław Czaplinski

przed wszystkim portu i były dyktowane nie tyle troską o rozwój miasta, ile interesami gospodarki narodowej. Cóż, nie byliśmy wówczas bogaci. Trzeba było ponadto odbudowywać nie tylko to, co uległo zniszczeniu, ale przekształcić strukturę gospodarki miasta i województwa zgodnie z kierunkiem społeczno - gospodarczego rozwoju kraju w nowych socjalistycznych warunkach.

Dzisiaj Szczecin i cały zachodniopomorski region zrosł się w jednolity organizm społeczny i gospodarczy z całym krajem, stanowiąc związany z nim integralny i liczący się element, tego organizmu. A przecież godzi się przypomnieć, że u progu lat siedemdziesiątych Pomorze Zachodnie znajdowało się w trudniejszej sytuacji, niż wiele innych regionów kraju. Większe były tutaj opóźnienia i dysproporcje w rozwoju społeczno - gospodarczym.

Szansę nadrobienia tych opóźnień dała pogrudniowa polityka partii, a

choćby takich gigantów jak Elektrownia „Dolina Odra”, Zakłady Chemiczne „Police”, Fabryka Kontenerów „Unikon”, rozbudowano wszystkie stocznie produkcyjne i remontowe. Dzisiaj województwo szczecińskie należy do regionów wysoko uprzemysłowionych; wartość produkcji uległa potrojeniu, a wydajność pracy wzrosła 2,5-krotnie.

Wyznaczył Pomorza Zachodniego na mapie gospodarczej kraju dostarczając każdemu szczecinianinowi wiele powodów do satysfakcji. Województwo dostarcza gospodarce narodowej co dziesiątą kilowatogodzinę energii elektrycznej, ponad 40 proc. nawozów fosforowych, 24 proc. kabli i przewodów, co drugą tonę ryb morskich, prawie jedną siódmą statków produkowanych w kraju. Podjęto produkcję nowych wyrobów, dotychczas nie wytwarzanych, począwszy od bieli tytanowej, poprzez kontenery, aż do budowy skomplikowanych statków oceanotechnicznych.

Gospodarka morska odgrywa coraz

Pogrzebowe theatrum

Dokończenie ze str. 5

nionej miłości, ale fakt o znaczeniu politycznym, bowiem tracił Zamoyski parantele z domem Radziwiłłów, który wnosił głosy całej Litwy i z pomocą tej prowincji zdobywał wiele.

Zamoyski starał się nadać pogrzebowi znaczenie publiczne. Miejscem wiecznego spoczynku miał się stać kościół św. Anny w Warszawie, ufundowany dla o.o. bernardynów przez babkę cioteczną Krystynę, Annę z Radziwiłłów księżną Mazowiecką, żonę Konrada III Rudego. W prezbiterium kościoła spoczywały zwłoki fundatorki. Obok upatrzył miejsce Jan Zamoyski dla swej żony.

Egzekwie i pogrzeb zostały wyznaczone przez kanclerza na sobotę 26 marca w wigilię Niedzieli Palmowej. Na zaproszenie gości i przygotowanie uroczystości pozostały niecałe cztery tygodnie. Za-

moyskiemu bardzo zależało, aby ta smutna uroczystość zgromadziła jak największą liczbę znakomych gości. Dlatego uczynił wszystko, aby przybyli najważniejsi biskupi i senatorowie. Wysłał w różne strony posłańców z żałobną nowiną i zaproszeniem.

Dla dworu kanclerza i kanclerzyny, liczącego około 75 osób, uszyto z czarnego sukna i aksamitu żałobne szaty z czapkami. Bardziej kunsztowne były stroje panien z fraucymeru, którym uszyto czapki na futrze oraz suknie i wierzchnie okrycia. Jan Zamoyski też przywdział strój żałobny. Jego karetę pokryto nowym sukniem, jak też sprawiono żałobną poponę, deki na konie; żałobny był również strój masztalerzy i woźniców.

Ciało zmarłej Krystyny ubrano w długą szatę z czarnego atlasu, którym też trumnę wyłożono. Pozostawiono przy zmarłej złoty łańcuszek i złoty pierścień z rubinem, które zwykła była nosić. Na piersiach zawieszono na srebrnym łańcuszku złotą tabliczkę, niewątpliwie z imienną inskrypcją, której treści nie trudno się domyśleć. Drugą tabliczkę, mosiężną, z pewnością o analogicznej treści, przybito na wieku trumny.

W momencie zamykania trumny ciało zalano wapnem. Wieko przybito brzoźnami i świeczkami metalowymi. W wieku na wysokości twarzy zmarłej wmontowano szklaną szybę, uszczelnioną klejem mącznym. Trumnę obito grubym płótnem i połączono smolą. Na to położono białe płótno i czarny aksamit. Zabieg smolowania trumny odnotował nuncjusz Caligari, uważając go za kwyżaj krajowy.

Zmarłą Krystynę Zamoyską portretował malarz sprowadzony z Krakowa. Na obraz ten wykonano

specjalne pudro. Jeśli założymy, że portret był wystawiony w kościele bernardynów w czasie egzekwi kanclerzyny w 1580 r., to należałoby przypisać temu faktowi duże znaczenie z punktu widzenia artystycznego i obyczajowego. Byłby to najstarszy znany przykład portretu trumiennego, który stał się specyficznym polskim zjawiskiem artystycznym i odgrywał dużą rolę w sztuce nagrobnej w okresie nowożytnym.

Według badacza problemu, Stanisława Wilińskiego, najstarsze zachowane wizerunki trumiennego pochodzą z lat dwudziestych XVII stulecia. Są to malowane na drzewie ośmioboczne portrety dwóch Janów Smigielskich z Bina; jeden z nich zmarł w 1615 r., drugi zaś w 1616 r. Zwyczaj używania portretów trumiennych przyjęł się powszechnie około połowy XVII w., właśnie wówczas, gdy ideologia sarmatyzmu ugruntowała się wśród szlachty. Portret Zamoyskiej miałby więc znaczenie prekursorskie.

Wprowadzenie zwłok Krystyny z dziekanii do kościoła nastąpiło nie później jak w tydzień po śmierci. Od dnia zgonu, aż do ukończenia uroczystości żałobnych przez niedzielę 4, dni 10 były dzwony trzy razy dziennie (w kościele bernardynów), a w dzień przenosin i w czasie egzekwi - we wszystkich świątyniach Warszawy. Po kościołach odprawiano msze solenne z kaganiami.

Uroczyste odbyło się prowadzenie ciała z domu żałoby na Starym Mieście do kościoła św. Anny. Oprócz rodziny, dworzan kanclerza, w procesji brały udział liczne bractwa religijne ze Starego i Nowego Miasta Warszawy. Uczestniczyli też liczni zakonnicy od św. Marcina, od św. Jerzego, od św. Ducha, księża manjonarze, kantorzy, bakalarze i żacy ze szkół parafialnych przy kościele N.



DNI KULTURY
RADZIECKIEJ
W POLSCE
18-27.IV.1980

Wielki festiwal sztuki Kraju Rad

KAZDY rok, każdy miesiąc przynosi kolejne wydarzenia wzbogacające kroniki i ugruntowujące dorobek polsko-radzieckiej współpracy kulturalnej. Łączy nas nie tylko bliskość geograficzna. Dziś — wspólnota celów, a przed laty — wspólna walka rewolucjonistów polskich i rosyjskich, później zaś — wspólnie przelewana krew na polach bitew II wojny światowej. Są to fundamenty, na których wyrosły łączące nas nierozdzielne więzi przyjaźni i braterstwa.

We wzajemnym poznaniu i coraz pełniejszym zbliżeniu trudno przecenić rolę i znaczenie związków kulturalnych. Ich rodowód sięga czasów Puszkina i Mickiewicza, Moniuszki i Glinki, a dziś wymiernymi przejawami są tysiące tytułów tłumaczonych wzajemnie książek, miliony widzów na filmach, wizyty czołowych zespołów i solistów, liczne artystyczne przyjaźnie.

Kultura radziecka ma w naszym kraju rzesze wiernych przyjaciół. Sprawia to jej głęboki humanizm, ideowość, zawarte w jej dziełach treści bliskie Polakom. Dlatego też każde spotkanie z kulturą Kraju Rad staje się źródłem przeżyć i wzruszeń dla szerokich kręgów naszego społeczeństwa.

W różnorodności form naszych kontaktów w ostatnich latach szczególnie wiele korzyści przyniosła wszechstronna prezentacja dorobku kulturalnego. Co cztery lata odbywają się festiwale muzyki i teatru. Dni Kultury (polskiej w ZSRR i radzieckiej w Polsce). Doniosłym wydarzeniem stały się Dni Kultury Polskiej w ZSRR zorganizowane ostatnio w kwietniu 1979 r.

W okresie od 18 do 27 kwietnia po raz trzeci odbywają się w Polsce „Dni Kultury Radzieckiej”. W ich programie znajdują odbicie tak

ważne rocznice, jak 35-lecie podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między ZSRR i PRL, 35 rocznica zwycięstwa nad faszyzmem, 110 rocznica urodzin Włodzimierza Lenina.

„Dni” rozpoczęły się 18 kwietnia w Warszawie przedstawieniem w Teatrze Wielkim baletu „Spartakus” Arama Chaczaturiana w wykonaniu Państwowego Akademickiego Teatru Wielkiego ZSRR. Setki koncertów i spektakli z udziałem artystów radzieckich odbywa się w dziesiątkach polskich miast, obejmując swym zasięgiem cały kraj.

Drugim wybitnym zespołem jest Wielki Leningradzki Teatr Dramatyczny im. Gorkiego, który przedstawił inscenizację „Cichego Donu” wg Michała Szołochowa i „Historię konia” wg Lwa Tołstoja. Usłyszeliśmy również i zobaczyliśmy Ludowy Rosyjski Chór Narodów Północy z Archangielska, Chór a Cappella Armeńskiej SRR, Orkiestrę Symfoniczną Litewskiej SRR, Leningradzki Teatr Lalek, chór Uniwersytetu Moskiewskiego.

W gronie kilkuset wykonawców imprez „Dni Kultury Radzieckiej” nie zabrakło wybitnych wirtuozów, śpiewaków, dyrygentów.

Ważnym i szerokim nurtem „Dni” są też wystawy, których liczba sięga kilkudziesięciu.

Część filmowa przynosi utwory polskie i radzieckie związane z hasłami „Dni” zrealizowane wspólnie w koprodukcji.

Przejawem bezpośrednich kontaktów przedstawiciele środowisk twórczych są wspólne sympozja w poszczególnych stowarzyszeniach.

„Dni Kultury Radzieckiej” w Polsce stają się więc jeszcze jednym ogniwem w tradycji braterskich kontaktów ludzi sztuki obu krajów i całych naszych narodów.

M. Panny z Nowego Miasta i kolegiacie św. Jana. Wszyscy otrzymali pewne datki, ale burmistrzom z Radą darmo prowadzić rozkazali. Przy trumnie szli ubodzy w kapturach i ze świecami kręconymi na kijach. Rozdawano jałmużnę ubogim.

Starannie przygotowano wnętrza kościoła św. Anny do solennych egzekwii. Ściany i mury (kafalki) były obite czarnym sukniem i ozdobione 20 herbami, do ośmiu z nich zastosowano złoto. Należy się domyślić, że godła te stanowiły starannie pomyślany układ heraldyczny o istotnym znaczeniu propagandowym. Chodziło zapewne Zamoyskiemu o wykazanie swoich rozległych paranteli poprzez żonę Krystynę, nie tylko z Radziwiłłami, ale też z Szydłowickimi. Może znalazły się tam również herby Jagiellonów i Piastów z racji ciotki Krystyny, Barbary Radziwiłłówny, żony Zygmunta Augusta i królowej Polski, oraz babki ciotecznej, Anny Radziwiłłówny, matki ostatnich książąt mazowieckich. Rodowód Radziwiłłów i Zamoyskich na pewno były wprowadzone w licznych kazaniach w czasie egzekwii, podobnie jak to w panegiryku pośmiertnym uczynił Tideman Giese. Na tej trumnie czy katafalku był zapewne wystawiony portret zmarłej, a nad tym prawdopodobnie wisiała chorągiew żałobna z herbami Radziwiłłów.

Po egzekwii nastąpiło złożenie ciała do wcześniej przygotowanej krypty grobowej, usytuowanej w prezbiterium kościoła, przy grobie księżnej Anny Mazowieckiej. Grobowiec był wymurowany z cegły i kamienia Mieszczenie warszawscy podarowali na grobowiec 1000 sztuk cegły. Przygotowano ruszt z 11 sztab żelaza, na którym spoczęła trumna. Wątrże grobu i wierzch zostały pomalowane.

Mimo starań kanclerza, aby podczas uroczystości znalazło się jak najwięcej znakomitych gości, nie było licznego zjazdu. Z rodziny Krystyny w egzekwii wziął udział tylko jej brat Albrecht Radziwiłł, marszałek nadworny litewski. Król przysłał swego przedstawiciela, natomiast osobście zaszczyliła swoją obecnością królowa Anna, na czym tak zależało Zamoyskiemu. Z innych znakomitych gości był Andrzej Tęczyński, wojewoda bełzki. Przybył nuncjusz Celligari, ale nie pojawił się prymas Karnkowski, poróżniony z kanclerzem. Biskup krakowski Piotr Myszkowski przysłał w swoim imieniu archidjakona. Uroczyste egzekwie odprawił biskup kujawski Hieronim Rozdźewski, asystował mu biskup chełmski.

Po egzekwii Zamoyski wydał obiad (konsolację) dla znakomitych gości w klasztorze o.o. bernardynów. Odbył się on zapewne w refektarzu, którego ściany zostały również obite czarnym sukniem kosztem Zamoyskiego. Nie wszyscy goście, którzy zaszczyli egzekwie swoją obecnością, pozostali na obiad. Nie pojawiła się królowa, nuncjusz papieski też nie uczestniczył. Podstawowym daniem tej żałobnej uczyły były „ryby wszelakie”. Z napojów podano na stół wino, malmazje i piwo. Nie brakowało też ciast, tortów, galaret.

Zamoyski nie żałował pieniędzy, aby pogrzeb wypadł okazale. Wydatki były dość duże, a mianowicie 1534 zł; a więc niemal połowę kosztów słynnego podwójnego wesela Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną i Elżbietą Zamoyską ze Stanisławem Władkiem w Warszawie w styczniu 1578 r. Najdrożej kosztowały czarne sukna, czarne aksamity i inne materiały na sprawienie szat żałobnych dla Jana Zamoyskiego i jego dworu oraz

na obicie wnętrza domu kanonik, kościoła i refektarza klasztornego, pochłonęły bowiem one 924 zł.

Z wielu względów pompa funebria, odprawiona z okazji pogrzebu Krystyny z Radziwiłłów Zamoyskiej, zasługuje na uwagę badacza kultury. Jest to najstarszy źródłowo znakomicie udokumentowany opis wieloletapowych uroczystości pogrzebowych dostojnej osoby — i to kobiety — pochodzącej z magnaterii. Uroczystości zostały wyreżyserowane przez Jana Zamoyskiego i jego doradców wedle nowych zasad, które niebawem stały się obowiązujące w XVII i XVIII w. Procesje związane z przenoszeniem zwłok do świątyni, jak również uroczyste egzekwie przy specjalnie skonstruowanym katafalku były widowiskiem parateatralnym, odbywającym się wedle z góry obmyśloną porządku.

Najtrafniej scharakteryzował uroczystości pogrzebu Krystyny Zamoyskiej nuncjusz Celligari: *Odbyły się egzekwie Pani Kanclerzyny z pompą i nadzwyczajną uroczystością, z wielkim miłosierdziem i pobożnością. Połączenie okazłości i ostentacyjnej gloryfikacji rodu z pełną ekspresją pokorą religijną i refleksyjnym uczuciem znikomości ziemskiego żywota (vanitas) stanie się niebawem w okresie kontrreformacji i baroku cechą charakterystyczną pogrzebów magnackich, naśladowanych także przez bogatą szlachtę.*

Jerzy Kowalczyk

(Skrót eseju z książki doc. dr. J. Kowalczyka „W kręgu kultury dworu Jana Zamoyskiego” przygotowanej do druku w Wydawnictwie Lubelskim)

Eugeniusz Dołmatowski

Od jednego pociągu wybuchu
Dwaj żołnierze upadli bez ruchu.

Ten ma buty, tamten owijaki,
Na pilotkach dwie różne odznaki.

Choć różnego kroju są szynele,
Krew jednako im spływa po ciele.

O ostatnich ludzkich spraw bezliku
Każy mówi, lecz w innym języku.

Ale źródła ich słów są podobne,
Tak okrutne teraz, tak żalobne.

Dla jednego ziemia ta jest bliska,
Drugi wsłuchał się w jęki wichryzyska —

Zanim serce na zawsze się ściszy,
Może z wschodu głos czuły usłyszy.

Dwaj podobni i różni żołnierze
O zbiegających wargach obok leżą

I na ziemi tak ostro się znaczą
Automaty w ich rękach bliźniacza.

W bój pędziła ich wspólna nienawiść,
Wspólny wróg ich tu życia pozbawił.

Poprzez ogień i śmiereć żywi niosą
Znak przyjaźni wspólnej Polski z Rosją.

Przełożył K. A. Jaworski

POECI Z ŁUCKA

Aleksander Bohaczuk

CZAS

Spiesz się wskazówka, wskazówka sekundowa,
Biega po arenie cyferblatu.
Tupie i tupie podkutymi kopytkami,
Mknie jak konik niewidzialny
Po niewidzialnym bruku czasu.
Słucham i słyszę, jak ten tupot
Prawie zbiega się z krokami serca,
A może to
Nie tupot kopyt,
Może, schowała się w zegarze
Miniaturowa sieczkarunia?
I czas jak sieczkę tnie.
A czas — nie słoma.

Piotr Mach

Do Warszawy brzozy idą
jak pielgrzymki,
Długie chusty spływają im z ramion —
To dla wiatru puszysty uciecha...
Przez Ryki, Wiąsowną niosą Wściełkę spowiedzi:
padały,
padały,
padały Polki w boju,
Wyrosły,
wyrosły,
wyrosły białe drzewka myśli,
Kto one? Skąd ich wiara —
z ghett, z błot mazurskich?
Padały,
padały,
padały jakby komety...
Teraz
Do Warszawy brzozy idą jak wdowy.

Przełożył z ukraińskiego Piotr Kupryś

NARODZINY MUZEUM

Dokończenie ze str. 1

wszystkim halda obornika oraz błotnista łąka dziedzińca.

Nie dajmy, że kolejnym dyrektorem pałacu-muzeum w Kozłowiec owe hodowlane problemy spędzają sen z powiek — nie tylko zresztą w przemożni. Jakże się nie denerwować, kiedy — pomijając już wszystkie inne sprawy — patrzy się z dnia na dzień na idące ku ruinie dziewiętnastowieczne, wpisane do rejestru zabytków, budynki folwarczne.

Obecny dyrektor muzeum, Krzysztof Kornacki, zwracał się z niejednym apelem do prezesa spółdzielni o podjęcie niezbędnych, i właściwych tego rodzaju obiektom, remontów. Prezes niezmiennie mówi, że nie posiada na takowe cele środków. A żeby nikt nie miał przypadkiem do niego pretensji, zwrócił się do wojewódzkiego konserwatora zabytków w Lublinie, Przemysław Maliszewskiego o odpowiednią sumę na remont obór oraz przystąpienie do prac remontowych. Tak jakby nie było rzeczą oczywistą, że o stan posiadanych budynków ma dbać przede wszystkim ich użytkownik! Zresztą, powiada dyrektor Kornacki, problem jest przede wszystkim w tym, że dawny folwark, będący integralną częścią zabytkowego zespołu pałacowego powinien znaleźć się w gestii muzeum.

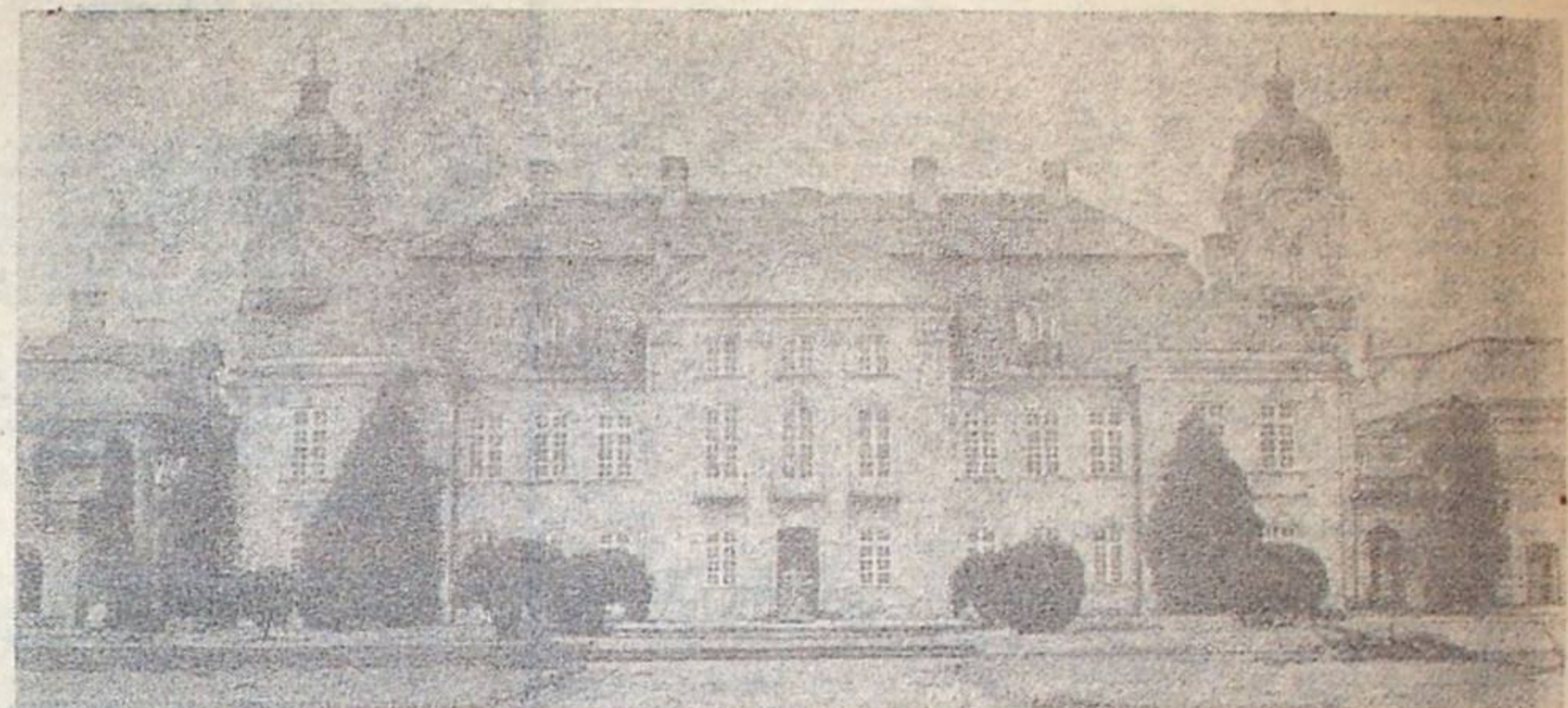
Pałac-muzeum w Kozłowiec przechodził w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat nader zmiennie koleje losu. Zaczęło się wszystko jak najlepiej, bo już w 1944 r. podlubartowska siedziba Zamojskich otoczono staranną opieką, nadano jej status muzeum i w dodatku — narodowego! Notabene było to w tamtym okresie „Polski lubelskiej” pierwsze działające muzeum na wyzwoleńskich terenach.

Piękny pałac, otoczony szesnastohektarowym parkiem, postawiony około 1740 roku według projektu słynnego architekta Józefa Fontany (a następnie przebudowany w XIX w. i na początku XX w.), wyszedł z działań wojennych w stanie nienaruszonym. Zachował się też prawie w całości wystrój wewnętrzny, umeblowanie i wyposażenie w przedmioty codziennego użytku. Ostatni właściciel, opuszczając Kozłówkę, wywieźli wprawdzie do Warszawy sporo obrazów, porcelanę, srebra stołowe, dywany, a także niemalą meblę, ale pałac nie został ogolony tak jak na przykład zamek łancki przez hrabiego Alfreda Potockiego. Była to wciąż jeszcze siedziba nadająca się do natychmiastowego zamieszkania, co więcej, zachowała atmosferę, jaką na przełomie XIX i XX wieku, w czasie największego rozkwitu Kozłówki, nadał jej Anna i Konstanty Zamoyscy. To właśnie oni umeblowali i urządzili wnętrza mieszkalne według własnych upodobań; przetrwały następnie, niezmiennie przez kolejnych spadkobierców, aż do 1944 r. Powstała tuż po wyzwoleniu kozłowieckie „muzeum narodowe” było więc siłą rzeczy przede wszystkim — jak byśmy to dzisiaj określili — „muzeum wewnątrz pałacowych”.

Poza głównym pałacowym budynkiem z okazałym korynckim portykiem wspartym na trzech arkadach, z którego otwierał się widok na wielki zielony gazon i biegący półkolistą wokół niego podjazd, Kozłówka mogła pochwalić się piękną kaplicą, wzorowaną na wersalskiej, w której szczególnie atrakcyjne by-

ły zachowane do dzisiaj bez najmniejszego uszczerbku witraże. Po obu stronach podjazdu ciągnęły się oficyny kuchenne i mieszkalne, kordogardy, wozownie.

Mebel i liczne obrazy znajdujące się w Kozłowiec nie należały na ogół do dzieł wybitnych. Najwięcej było tu kopii, zdarzały się podobno i oleodruki oprawne w piękne ramy, a antyczne meble sprowadzono mawo, pod koniec XIX wieku, z wytwórni paryskich. A jednak pałacowe wnętrza miały swój szcze-



gólny charakter i swój niepowtarzalny styl.

W 1944 r., po przejęciu pałacu przez państwo, znajdowało się tam około 2400 obrazów, zasobna biblioteka liczyła niespełna pięć tysięcy tomów. Jerzy Wolff pisał w 26 numerze „Odrodzenia” z 1945 r. m. in.: Kozłówka już nie udekorowana, ale literalnie wytapetowana była obrazami — obrazy wisiały w korytarzach, w ciemnych sionkach, łazienkach, jako że obwieszane były pod sam sufit. W wielkim, tzw. „czerwonym” salonie obrazy wisza dotąd pomiędzy oknami na wysokości drugiego prawego piętra (sala jest bardzo wysoka), w takich warunkach oświetlenia, że tylko w dzień bardzo jasno zorientować się można, czy płótno jest portretem męskim czy kobiecym.

Już w 1944 roku w północnej oficynie pomieszczono Państwowy Dom Dziecka, w południowej — w trochę późniejszym okresie — znalazła lokum szkoła podstawowa. Na pewien czas wprowadził się również na teren zespołu pałacowego Państwowy Ośrodek Maszynowy oraz agendy szeregu innych instytucji, m. in. nawet huty szkła z Lubartowa.

Tymczasem ówczesny Państwowy Ośrodek Muzealny wegetował przez wiele, wiele lat pod rządami kolejnych kierowników-kustoszów. Wegetował — nie ze względu na ich nieudolność, ale po prostu dlatego, że władze nie bardzo wiedziały, co począć z zabytkowym, ale położonym na uboczu od szlaków turystycznych pałacem. A poza tym wciąż brakowało pieniędzy na doprowadzenie Kozłówki do właściwego stanu. Przez wiele lat „cykano” kolejne zastrzyki pieniężne na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb.

A potrzeby były ogromne. Zamoyscy doceniali wprawdzie sprawy higieny i dlatego pałac został swego czasu skanalizowany, a pomysłowo skonstruowana „hydrofornia” dostarczała wody do zbiorników na wieżach pałacowych przy pomocy urzędzenia poruszanego przez kierał konny, ale bronili się przed elektrycznością i kaloryferami.

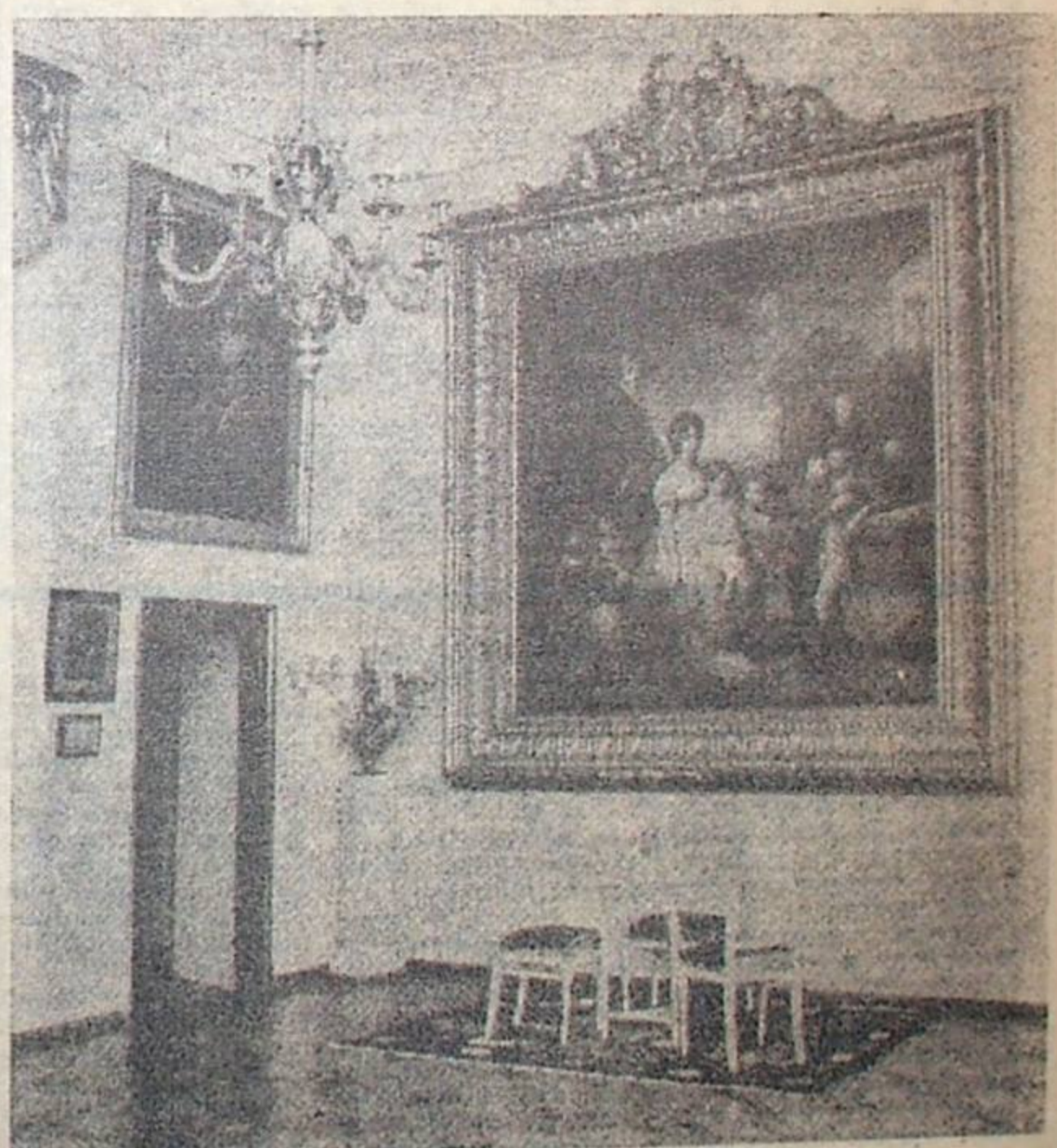
Światło elektryczne zostało założone w pałacu dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przez ówczesnego kustosza, Kazimierza Popiłka. Do dzisiaj Kozłówka jest tak obficie wyposażona w lampy naftowe i świecowe kandelabry, że wzbudziło to nieklamany zachwyt wśród przybyłych tutaj jesienią ubiegłego roku uczestników I Ogólnopolskiego Zjazdu Muzealników. Płomienie świec i blask ogonia, padający od czynnych po dzień dzisiejszy kominków, stanowiły przyjemne zaskoczenie. Coraz mniej mamy w kraju takich autentycznych, niekniętych „zębem współczesnej cywilizacji” wnętrz pałacowych.

Ta „atrakcja” Kozłówki to jednak cały wielki i skomplikowany problem dla muzeum. Na ogrzanie, przy pomocy trzydziestu kilku pieców-olbrzymów, budynku pałacowego idzie rocznie ston ton węgla najwyższej jakości! A co z resztą budynków, na które nie ma osobnego przydziału węgla? Poza tym stare, zabytkowe kafle nie wytrzymują węglowego żaru, co roku przynaj-

wiele lat pałac Zamojskich był wykorzystywany jako centralna składnica muzealna, drzwi dla wiedzających zostały zamknięte.

Przez wiele powojennych lat pałac kozłowiecki był systematycznie ogolany z mebli i obrazów przez kolejne instytucje kulturalne, muzea a nawet... osoby prywatne. Wiele z owych „depozytów” przepadło bezpowrotnie. Inne znajdują się w licznych polskich muzeach, które wcale nie kwapią się ze zwrotem. Kiedy przed kilku laty powstała idea przekształcenia Kozłówki w muzeum wewnątrz pałacowych rozpozczęto wielką akcją „rewindycji” tutejszych zbiorów. Zajmowała się tym energicznie poprzednia dyrektorka muzeum, Irena Paszyn Teraz boje o zwrot eksponatów toczy dyrektor Krzysztof Kornacki „rezydujący” tutaj od 1 lutego 1979 r.

Status Kozłówki zmienił się w sposób oficjalny z końcem 1977 r. dzięki zarządzeniu nr 35 Ministra Kultury i Sztuki z dnia 18 listopada — w sprawie utworzenia Muzeum-Pałacu w Kozłowiec i nadania mu statutu. Związane było z tym



mniej jeden piec pęka. Dawniej palono drzewem z rozległych kozłowieckich lasów, dziś już nikt nie może sobie na to pozwolić.

Jedną z korzyści ubiegłorocznego zjazdu muzealników był fakt, że na dobrą sprawę dopiero wtedy naprawdę odkryto Kozłówkę; jej urok, jej walory.

Jeszcze stosunkowo nie tak dawno nazywano po cichu Kozłówkę „muzealną rupieciarnią całej Polski”. Działo się tak, bo przez bardzo

między innymi przyznanie wysokiej sumy na renowację obiektu. Musieli też zacząć wyprowadzać się dotychczasowi lokatorzy budynków wchodzących w skład zespołu pałacowego.

Jako jeden z pierwszych wyprowadził się Państwowy Dom Dziecka. Niestety, nie cieszył się on przez wiele lat swego istnienia dobrą opinią kolejnych kierowników i dyrektorów muzeum. W dużej mierze Dom przyczynił się do ogromnej dewastacji parku, nie mówiąc

już o samym budynku, który przez wiele lat eksploatował. Po przystąpieniu do prac przez remontowe ekipy „pekazetów” odkryto np. że strych przez wiele lat zastępował wychowankom... ubikację. Lokatorzy dawnej „hydroforni” nagroniadził z kolei przez lata w piwnicach budynku, sięgające sklepień, zwały popiołu z pieców, traktując piwnice po prostu jako... śmietnik. Najlepiej „kładało się” sąsiedztwo ze szkołą, która nieraz przykładała rękę do porządkowania parku.

Po ponad trzydziestu latach eksploatacji północnej oficyny przez Państwowy Dom Dziecka trzeba było dokonywać kapitalnego remontu od dachu aż po piwnice. Inna sprawa, do ostatecznej ruiny przyczyniły się — jak dodaje dyr. Kornacki — jeszcze i same ekipy remontowo-budowlane. W 1978 roku na długie letnie miesiące zdjęto pokrycie dachu oficyny w celu całkowitego wymienienia dachówki. Ale nie pomyślano o zabezpieczeniu stropów. Latem zaś 1978 r. było mokre, dżdżyste i deszczowe. Woda lała się przez kolejne stropy, dochodząc aż do piwnic. Jeszcze dzisiaj można oglądać na sufitych wielkie polece odpadłego tynku.

W trakcie remontu dachu kaplicy odpryski zrzucanych były jak z góry dachówek poważnie pokaleczyły pęknięte drzwi zewnętrzne. Lubelskie „pekazety” zabrały drzwi do renowacji. Następnie wystawiono rafterunek... opiekujący na świecie miliona złotych! Wzbudziło to protest dyrekcji muzeum. Ostatecznie, salomonowym wyrokiem specjalnej komisji, rozłożono tę sumę po polowie na obie instytucje.

Koszty prac związanych z renowacją kozłowieckiego zespołu pałacowego opiewają — według cen z 1976 r. — na 250 milionów złotych. Dyrektor Kornacki ma nakreślony długoterminowy plan działania: po zabezpieczeniu budynków — prace nad urządzeniem centralnej kotłowni i doprowadzeniem centralnego ogrzewania dla wszystkich obiektów, budowa hydroforni i oczyszczalni ścieków. Następnie przyjdzie czas na wewnętrzne remonty oficyn, które pomieszczą pracownie konserwatorskie, magazyny i służbowe mieszkania dla pracowników. W oficynie północnej będzie w przyszłości znajdował się hotelik dla uczestników konferencji i zjazdów naukowych oraz dla studentów — praktykantów. Kiedy z oficyny popudnowej wyprowadzi się szkoła, zostaną tam przeniesione biura muzealne. Pracownicy zamieszkają w kordegardach...

Są już wykonawcy. Ale prace będą się przeciągały całymi latami. Czy dyrektor Kornacki wjeździe w dotrzymanie terminów? A co ma robić?

Kiedyś w przyszłości, gdy terminy zostaną ostatecznie skorygowane a plany wykonane, muzeum — pa-

lac w Kozłowiec będzie mogło rozwijać w pełni pracę istniejących już teraz działów muzealnych: działu zbiorów sztuki, składnicy dzieł sztuki zakwestionowanych na komorach celnych przy nielegalnym wwozie za granicę biblioteki działu konserwacji ogrodu i parku, pracowni fotograficznej oraz planowni pracowni konserwacji mebli, działającej dla potrzeb muzeów z całego kraju.

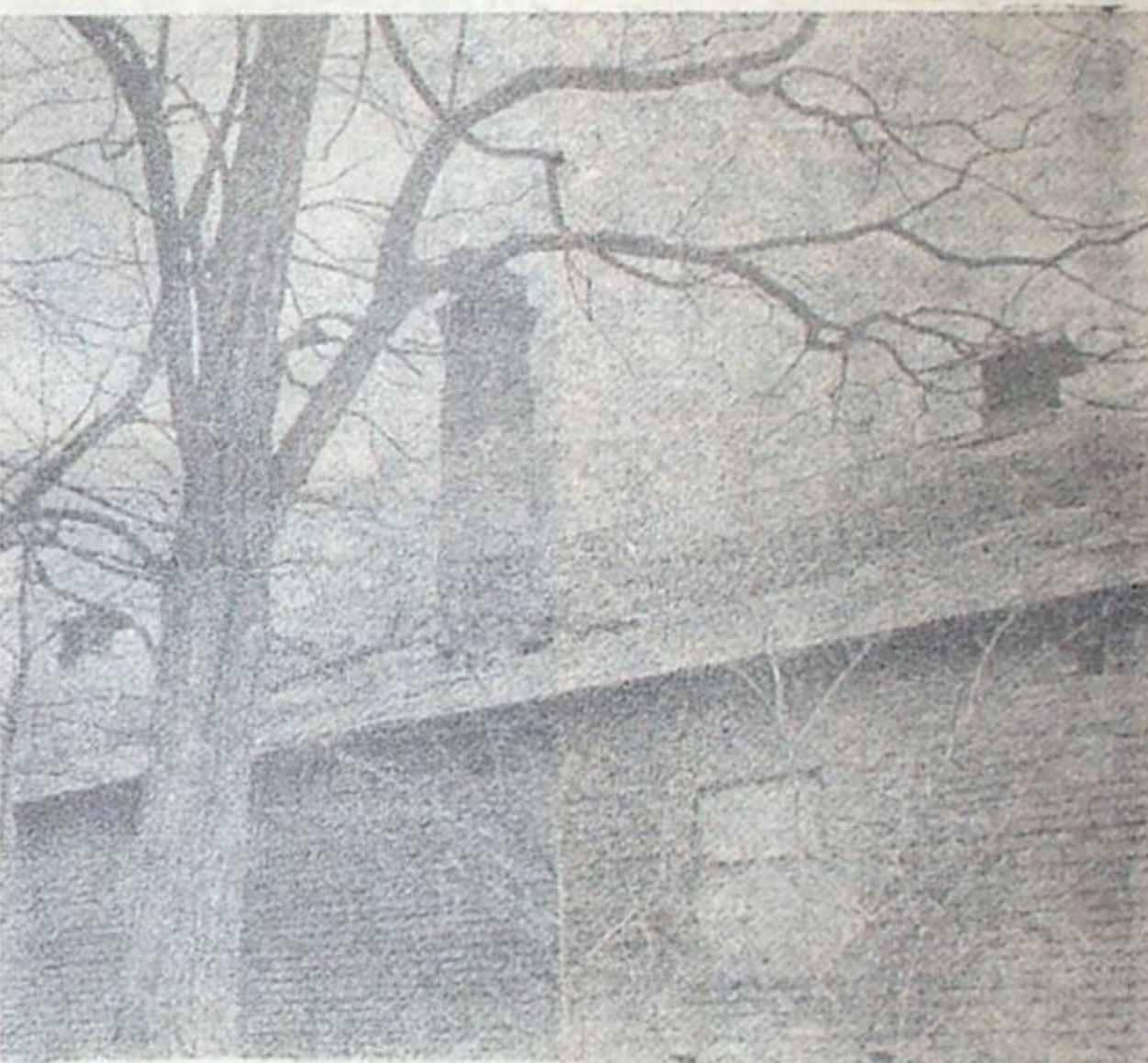
Do tego wszystkiego dyrektor ma na razie 30 osób personelu, z czego większość stanowią pracownicy fizyczni i administracyjni. Potrzeba już teraz — poza pracującymi — jeszcze czterech historyków sztuki i dwóch konserwatorów. Ale do Kozłówki nikt nie przyjedzie na stałe jeżeli nie dostanie tam mieszkania. A mieszkań w Kozłowiec nie ma. Nadzieja — w budowlanych i prowadzonych przez nich pracach remontowych.

Na razie pracuje ich... ośmiu. W przyszłości Kozłówka będzie miała przestronną salę konferencyjno-kinową umieszczoną w budynku dawnej „teatralni”. I wtedy być może, zakłady przemysłowe Lubelszczyzny, które już dzisiaj służą pałacowi-muzeum pomocą i poparciem, będą tutaj odbywały ważne konferencje, a w stylowych wnętrzach głównego budynku zostanie podpisany niejeden układ handlowy z zagranicznymi kontrahentami. Będą przyjeżdżali jeszcze liczniej niż teraz zwiedzający, w pobliżu pałacu będzie można coś zjeść w restauracji urządzonej w jednym z zabytkowych budynków.

Na razie jednak, oprócz spraw remontowo — adaptacyjnych, najbardziej istotną rzeczą jest odzyskanie owych licznych eksponatów stanowiących własność Kozłówki, tych, które swego czasu zostały skatalogowane i pokwitowane przez wypożyczających.

Ministerstwo Kultury i Sztuki dało dobry przykład zwracając wszystkie przedmioty wypożyczone kiedyś z Kozłówki. Oddał rzeczy wzięte w depozyt Dom Architekta w Kazimierzu nad Wisłą, wróciła część eksponatów z Łańcuta i Płocka. Ale lista muzeów i instytucji, które są „winne” jest bardzo długa: Muzeum Górnośląskie w Bytomiu — 18 pozycji, Muzeum w Toruniu — 14 pozycji (większość — to części pięknego kozłowieckiego serwisu „rozparcelowanego” także do Zamościa i Wrocławia) Państwowe Muzeum Sztuki na Wawelu — tzw. „krzesło kozłowieckie” Muzeum w Białymstoku — 4 obrazy. W warszawskim Muzeum Mickiewicza jest 26 eksponatów z Kozłówki w Muzeum Narodowym we Wrocławiu — 46 pozycji, w Muzeum Okręgowym w Lublinie — 110. I tak dalej, i tak dalej...

— Co robicie, aby odzyskać waszą własność? — pytam dyrektora Kornackiego.



— Przede wszystkim wysyłamy odpowiednie oficjalne pisma z prośbą o zwrot.

— I jakie zwykle otrzymujecie odpowiedzi?

— Najczęściej nie otrzymujemy odpowiedzi w ogóle. Choć, oczywiście, nikt nie zaprzecza że przedmioty z Kozłówki znajdują się w zbiorach danego muzeum.

— A przypadki szczególnie dramatyczne?

— Na przykład Łańcut. W 1977 roku Muzeum w Łańcutie otrzymało specjalną decyzję pismem Ministerstwa Kultury i Sztuki w sprawie zwrotu do Kozłówki portretu Zofii Zamoyskiej z dziećmi. Na listy i pisma nie odpowiadała. A nieoficjalnie mówią że jak znajdą obraz również sfakcyjny, który będzie mógł im powtórzyć stratę tego, o który się dopominamy...

— To co?

— To nam wtedy Zofię Zamoyską oddadzą.

Muzeum Pałac w Kozłowiec przeżywa swoje drugie narodziny. Ale nie są to narodziny łatwe i bezbolesne.

Mirosław Derecki
Fot. Waldemar Stępień

RÓWNOLEGLE z odbywającymi się na dużej scenie próbkami „Smierci komiwojażera”, sztuki reprezentatywnej dla współczesnej dramaturgii amerykańskiej, przygotowywano w „Reducie 70” pod tymże kierownictwem reżyserskim premierę spektaklu, który składa się z dwóch krótkich sztuk słynnego współczesnego autora angielskiego.

J. Hoffmann, entuzjasta dramaturgii Harolda Pintera, inscenizował cztery jego głośne jednoaktówki już za czasów swej dyrekcji w zielonogórskim Teatrze im. L. Kruczkowskiego, prezentując „Kochanka” z „Kolekcją”, a „Lekki ból” z „Krajobrazem”. Były to wtedy polskie prapremiery. Pokazano pierwszy z tych zestawów na sesji wyjazdowej warszawskiego Klubu Krytyki Teatralnej SDP, w której brałam udział. Aczkolwiek minęło odtąd aż lat dziesięć i widziałam potem takie sztuki pełnospektaklowe Pintera, jak „Urodziny Stanleya” czy „Dozorca”, pamiętam dobrze, iż tamten zielonogórski układ jednoaktówek wypadł nader korzystnie.

Obecnie, na małej scenie lubelskiego Teatru im. J. Osterwy, „Kochanka” poprzedził — „Lekki ból”. Píše Jerzy Hoffmann w programie teatralnym: *Zastanawiałem się jakiś czas, w jakiej kolejności pokazać Państwu obie jednoaktówki. W jednej z nich pod wpływem zagrożenia małżeństwo rozpada się zupełnie, w drugiej zostaje podtrzymane pewnym substytutem, przyjmując oczywiście rozumowanie dość prymitywne i pozbawiając oba utwory metafor (rozstrzeleń ma je — M. B.-R.) i niedopowiedzeń bardzo dla nich istotnych. Zatem logicznie byłoby ukazać może najpierw próbę ratowania tego, co rozpaść się musi, a następnie nieuchronny i okrutny upadek. Postanowiłem jednak postąpić odwrotnie, to znaczy po ukazaniu niszczonego przez czas małżeństwa, które ulega rozkładowi wobec tajemniczego zagrożenia z zewnątrz w postaci niezwyklego trampa, pokazać namiętną, choć perwersyjną i okrutną w swej bezwzględności, sztukę o podwójnym życiu męża i żony, niezdolnych do wyjścia poza zaszarowany krąg, jaki sobie wyznaczyli.*

Otóż to — padło słowo „metafory”... Muszę wyznać, że właśnie z ich powodu powyższy passus wypowiedzi reżysera raczej mi nie trafił do przekonania. Osobiście uważam, iż szereg utworów Pintera śmiało możemy „pozbawić” metafor, w jakie chcieliby je wyposażać pewni teatrolodzy, sami przy tym operując niedopowiedzeniami. Oczywiście dałoby się na siłę i w „Kochanku” dopatrzeć „wielkiej metafory”, bo niby to obrzydają sobie ludzie nie tylko więzy małżeńskie, ale i różne inne układy, nie wspólnego z Erosem nie mające. Lecz po co szukać sensu za siedmioma górami, skoro nie zakłamując się „awangardowo” widzimy w wymienionej jednoaktówce Pinterowej świetną psychoanalizę długoletniego pożycia małżeńskiego, którą autor przekazuje widzowi za pomocą sytuacji zresztą udziwnionej dla fasonu... no, powtórzmy słowo — „awangardowego”.

Bogiem a prawdą, pokazał on przeciwieństwo „wprost z życia wzięte”. Bezdzietne małżeństwo, zamieszkałe gdzieś na odludziu, uprzykrzyło sobie, po latach harmonijnej wspólnoty, *passex-moi le mot* — „rutynę seksualną”. Nazbyt częstą konsekwencją podobnego stanu rzeczy bywa, wiadomo, trójkąt albo i kwadrat małżeński. Cóż kiedy małżonkowie pokazani w „Kochanku” żywią dla siebie nawzajem trwałszą miłość wyższego rzędu, nakazującą im ratować godność swego związku. A więc dowcipny autor podsusza liście maklawelski pomysłu „samoobsługi”: mąż będzie odwiedzał własną żonę — jako brunet o wieczorowej porze. Zatem i wilk będzie syty i owca cała. Atoli owo *amore* bardzo — bardzo profano, zalatujące owidiuszowymi igraszkami miłosnymi, zaczyna poniekąd kazić sentymenty uświęcone obrzędem i obyczajem. Stąd narastające u męża poczucie zagrożenia. Komediofarsa gotowa przemienić się w dramat.

Doktor Rellly Eliota (p. „Cocktail Party”) może przytoczyliby spłoszonemu małżonkowi wzór kompromisowego rozwijania, jakie znajdują ludzie, kiedy stają się wyrozumiali dla siebie i dla innych (Biorąc i dając to, co w zwykłym życiu). Możemy brać i dawać! Nie narzekają! Zadawoleni są z ranków, co ich dzieli i z wieczorów, które ich znowu łączą! Na przypadkowe rozmowy przed kominkiem

/Dwoje ludzi świadomych, że nie rozumieją się wzajemnie! Chowających dzieci, których nie rozumieją i które ich nigdy nie zrozumieją.

Zgola inna niż w „Kochanku” jest aura pierwszej jednoaktówki. Sara i Edward wszak jeszcze się na swój spos b kochają, natomiast Flora i Edward z „Lekkiego bólu” są od lat sobie obcy. Ale nie o to tutaj chodzi, przede wszystkim nie o rozpad małżeństwa. Mówiliśmy wyżej o zagrożeniu. Termin ów, zapożyczony u teatrologów angielskich (*comedy of menace*), dawno już przyjął się u nas

że to, co u wielkiego Belga jest polityckie, stało się w „Lekkim bólu”, jednej ze słabszych sztuk Pintera, po prostu mgłne.

Dotarliśmy chyba teraz drogą powyższych rozważań do wyjaśnienia, dlaczego podałam w wątpliwość za cytowaną na początku mej recenzji motywację układu zaprezentowanych w „Reducie 70” jednoaktówek Pintera. Staralam się mianowicie wykazać, że zestawienie ich nie daje się uzasadnić jednorodnością tematyczną, albowiem w „Kochanku” autor nie wyprowadza właściwie swych po-

fakt, że Harold Pinter, dramaturg o światowej renomie, wszedł nareszcie oficjalnie do Teatru im. J. Osterwy, że jego utwory, choćby i nie zawsze te najlepsze, nie są już zdane tylko na prekursorską inicjatywę Studium Dramaturgii Współczesnej.

Alle czas powiedzieć coś o wykonaniu omawianych jednoaktówek. Otóż miło mi zacząć od stwierdzenia, że duża satysfakcję sprawiło mi następujące wyznaczenie reżysera w programie teatralnym: *„Z biegiem lat coraz bardziej przekonuję się oglądając przedstawienia, że przy pomocy pewnych tekstów można burzyć ramy sceniczne i wyrzucać kurtyny, ale w większości wypadków po prostu nie warto”.*

Ileż razy sama pisałam w tym duchu — np. o inscenizacjach udziwniających sztuki Różewiczal

Zgodnie ze swą deklaracją, Hoffmann postanowił pokazać Pintera „na tradycyjnej scenie, wśród tradycyjnych wnętrz”. I rzeczywiście scenografia Jolanty Ozminy została zaprojektowana na scenę quasi pudełkową, jaką udało się wydzielić z przestrzeni owalnej sali „Reduty 70”. Spokojna boazeria na „ścianach”, umeblowanie w guście przeciętnych przedstawicieli *middle class*. Słowem, zwykłe naturalistyczne wnętrza, w których dopiero z różnych urojeń powstają stresy.

Klimat dramaturgii Pintera jest na ogół wiernie odtworzony w całym spektaklu, wierniej jednak w „Kochanku” niż w „Lekkim bólu”, ponieważ i tekst tu lepszy, i obsada trafniejsza...

Tyle już wypisałam pochwał pod adresem dyr. J. Hoffmanna w związku z jego inscenizacją „Smierci komiwojażera”, że nie weźmie mi, sądzę, za złe, iż do krytycznych uwag o interpretacji treści „Lekkiego bólu”, dodam teraz jeszcze jedną, dotyczącą kwestii obsady. Nie godzi się bowiem przemilczeć, gwoili fałszywie pojętej grzeźności, faktu, iż sztuczne nagłecie „Lekkiego bólu” do tematyki „Kochanka” pociągnęło za sobą niefortunną koncepcję obsadzenia tej samej aktorki w rolach Flory i Sary, co z kolei, podpierając sporny komentarz inscenizatora, prowadzi do zaciemnienia sensu sztuki. Sprzężenie zwrotne.

Niewątpliwie Małgorzata Nieśpiałowska rozporządza środkami artystycznymi pozwalającymi jej wywiązać się chlubnie niemal z każdej roli (to samo można powiedzieć o Henryku Sobiecharcie), niemniej wydaje się że istotna treść „Lekkiego bólu” wymagalaby ustawienia postaci na parę małżeńską w wieku bardziej dojrzałym. Natomiast warto odnotować jako niemały sukces Ryszarda Kolaszyńskiego trudną rolę Barnaby, milczącego sprzedawcy zapalek. Największe zaś triumfy w całym spektaklu święcił Zbigniew Szejman, i jako mąż, i jako pseudokochanek. Nieśpiałowska, żona-kochanka, dzielnie mu sekunduje.

Poza omówionym przedstawieniem „Reduty 70” Jerzy Hoffmann wyreżyserował przy okazji dla Studia Dramaturgii Współczesnej trzecią jednoaktówkę Pintera — „Krajobraz”, obsadzając tu w rolach żony i męża Ninę Skołąbę i Jana Wojciecha Krzyszczyka. Przypadło im w udziale zadanie nie lada: uzyskania Pinterowskiej aury bez niepełnego pamięciowego opanowania tekstu — według założeń Studium, będącego przeciwieństwem tzw. „teatru przy stoliku”.

„Krajobraz” daje nam jeszcze jedno exemplum braku kontaktu w małżeństwie, ale to już absolutnego, od początku i po wsze czasy. Wzajemna obcość małżonków akcentuje tutaj dosadnie równoległość dialogu, składającego się jakby z dwóch niezależnych od siebie monologów wewnętrznych.

Dramaturgia Pintera jest, jak wiadomo, w znacznym stopniu kontrolwersyjna, dobrze się więc stało, że Jerzy Hoffmann zamieścił w programie teatralnym komentarz informujący nie tylko o koncepcji reżyserkiej, ale i o cechach twórczości autora prezentowanych sztuk. Przed pokazami „Krajobrazu” w klubach związała treściąwa prelekcję wygłasza mgr Alina Kochanek.

Oprócz jednoaktówek Pintera wystawiono ostatnio w „Reducie 70”, staraniem Nowo przybyłych młodych aktorów, Krzysztofa Sławomira Kaczmarka i Edwarda Zentary, „Leki poranne” Grochowiaka. Inszenizacji tej tudzież innym inicjatywom aktorskim, realizowanym w gmachu Teatru im. J. Osterwy czy też poza jego obrębem, należy się osobne omówienie.

W LUBELSKIM TEATRZE DRAMATYCZNYM

Pod znakiem zagrożenia

Maria Bechzyce-Rudnicka



Harold Pinter — „Lekki ból”. Malgorzata Nieśpiałowska (Flora) i Ryszard Kolaszyński (Barnaba)

Fot. Z. Zugaj

w odniesieniu do dzieł Harolda Pintera. Tylko trzeba pamiętać, że zagrożenie Pinterowskie ma różnorodny charakter i nierówną intensywność. Tedy o ile w rozpatrywanym teraz zestawie przypisywanie „Kochankowi” jakichś dalekosiężnych metafor wydaje mi się zadaniem niewdzięcznym, o tyle nie ulega chyba wątpliwości, że „Lekki ból” był w intencji autora wielką metaforą, sygnalizującą postacią niesamowitego trampa — zbliżanie się śmierci. Głównym odbiorcą sygnałów jest Edward, wręcz opanowany obsesją wielkiego zagrożenia.

W poszukiwaniach pokrewieństw przy analizie twórczości Pintera wymieniano nazwiska Ionesco, Becketta, Musila, Mrożka... Dla mego zaś szlachy, gdy myślę o „Lekkim bólu”, najbardziej uchwytną są echa dramaturgii, z którą zetknęłam się w drugim dziesięcioleciu naszego wieku, zwłaszcza echa (pochodzących jeszcze z końca wieku ubiegłego) sztuk Maeterlincka „Intruz” i „Wnętrze”. Tyle

stać poza krąg spraw erotycznych, podczas gdy w „Lekkim bólu” sięga przeciwieństwo metafory mającą wytworzyć nastrój skrajnego zagrożenia.

Rzecz jasna, wolno inscenizatorowi zestawiać krótkie utwory również na zasadzie ich odrębności, lecz w takim przypadku tym większe znaczenie ma niezaprzeczalność ich walorów.

Tak czy inaczej, zestaw zielonogórski Jerzego Hoffmanna wydał mi się bardziej celny od wystawionego obecnie w Lublinie. „Kolekcja” jest sztuką równie dobrze napisaną jak „Kochanek” i „przylegają” do siebie obie pozycje idealnie pod względem tematycznym, ukazując rozmaite odmiany rozpadów małżeństwa.

Mówię to wszystko niejako biorąc za hasło francuskie przysłowcie „Le Plus est l'ennemi du Bien”, a w przekonaniu, że w każdym razie należy się Jerzemu Hoffmannowi piękne podziękowanie przynajmniej za sam

Archipelag Magallanes

Jalu Kurek

Rzecz pisana w roku 1950 nosi znamię ówczesnej sytuacji w Chile, zresztą — dziwnym zbiegiem okoliczności — przypominającej dzisiejszą; tyle że zamiast ówczesnego interwencjonizmu gospodarczo-politycznego ze strony USA, mamy dziś do czynienia z uciskiem politycznym ze strony dyktatury Pinocheta. (Red.)

CHILE przypomina swym kształtem pochwę miecza: jest wąskie i długie. Mieczem rozwalali tu hiszpańscy zdobywcy czaszki Araukanów. Nożem obcinali uszy Tehuelczom angielscy farmerzy. Co robił Senoret? Jak sobie poczynił Popper, rumuński Niemiec? I inni? Królewscy gubernatorzy? General-kapitanowie Cieśniny? Awanturnicy i kupcy? Jeszcze sto lat temu opierały się zwycięsko szczepy araukańskie najazdowi białych w Patagonii. Dzisiaj przepadła niepodległość Indian. Chwała wam, czerwonoskórzy zamordowani w boju.

Kapryśna i dzika jest geografia tego kraju. Od skwarne go zwrotnika po antarktyczne wysepki. Spalona żarem pustynia, cudowne jeziora w zieleni borów, wspaniała Cordillera andyjska. Ponad cztery tysiące kilometrów morskiego wybrzeża. Wieczne śniegi pokutujące u kolan najwyższych gór obu Ameryk. Wulkany dymiące i wygasłe. Wielokilometrowe lodowce Ziemi Ognistej spływające fiordami w morze. Czarna nędza rybaków w Chile. Złoto. Srebro. Miedź; dużo miedzi. Węgiel kamienny, brunatny i drzewny. Żelazo. Kobalt. Mangan. Jodyna. Tłuści niemieccy koloniści z Llanquihue. Plantacje i kopalnie. Mięso i wełna; dużo mięsa i dużo wełny. Ciemnota. Pobożność. Pijanstwo. Wieloryby. Foki. Delfiny. (Co raz mniej). Jaguary i srebrne lwy, Lamy i sępy. (Pod ochroną, to znaczy wytępione).

Wyschnięte czeluście — mordownie saletrzanych stepów, ongiś święte bogactwo narodu. Skały przybrzeżne pokryte nawozem ptasim. Narodowe dochody z odchodów! To jest Chile.

Podmorskie zagłębie węglowe Concepcion. Rzeźnię i strzyżalnię południa. Wysokie piece w prowincji Valdivia. Patagońskie tartaki i fabryki celulozy. Hydrocentrale w Corral. To jest Chile.

Dniem i nocą unosi się nad tą ziemią nadmorską, wyspiarską i górską ogłuszający warkot samolotów, muzyka powietrza drążonego śmigłem. Panuje tam czysty oddech szczytów, a na zboczach przycupnęły lepianki bosych Metysów odzianych w podarte poncha.

Pochodzicie od Indian wyzablianych przez hiszpańskich gwałcicieli; przez złodziei, którzy tu nieśli światło włary. Odchodzicie w kurzawę dziejów, które was zrodziły, nędzny proletariats drwali, górników, pastuchów.

Nie odchodzicie. Wasza epoka się zbliża.

Rybacy schyleni nad sieciemi w burzliwą noc oceaniczną! Glucha jest przyszłość narodu, ciężki jest

los waszych dzieci. Dla kogo wy się męczycie, kiedy cena rąk waszych spada z roku na rok? Uderzcie w placz brzegi skaliste Pacyfiku! Kto się upomni o człowieka, kto rękę zakrwawioną do góry wyciągnie?

OPISANIE WÓD

Territorio Magallanes. Wyspiarski świat. Znajdziecie tu prawie tysiąc wysp i wysepek. Wyspy wszystkich świętych pobieranych z litanii oraz z kalendarza. Wyspy Czarne, Wyspy Zwodnicze czyli Oszukańcze. Wyspy Wściekle Zachodnie i Wyspy Wściekle Wschodnie. Wyspy Falszywego Wejścia. Wyspy noszące nazwiska międzynarodowych awanturników, piratów i handlarzy, admirałów, rycerzy i królów. Wyspy indiańskich myśliwych i rybaków. Labirynt Zachodni. Pustynia Południa. Ziemia Ognista. I bezimienne archipelagi dzikich skał.

Porty. Port Smutku. Port Głodu. Port Zachwycenia; jak się wam to podoba? Port, który się trafnie nazywa: Quo Vadis? Dokąd płyniecie statki o nieznanym przeznaczeniu?

Przylądek Zatopiony. Przylądek Wąskiego Gardła. Przylądek Pięciu Palców. Paszcza Węża. Krzywy Dziób inaczej Pillar.

A zatoki? Zatoka Ucieczki. Zatoka Utrapienia czyli Nieszczęśliwa. Zatoka Niepotrzebna. Zatoka Płaczliwego Dziecięcia albo: Świętego Filipa (ta sama). Zatoka Śmierci. Zatoka Wszystkich Świętych. Zatoka Masakry; bo tu się ongiś bili Indianie szczepu Alakaluf z Indianami szczepu Yagana. Ile historii w tych nazwach!

Góry. Góry Ognia. Wierchołek Czterech Braci. Szczyt Wdów. Mur Świętego Krzyża. Góra Świętego Piotra i Świętego Pawła; z jej podwójnego dwugarbego wierzchu lewy jest nieco wyższy jak przystało przodującemu miejscu patrona w apostołskiej ekipie. Szczyt Zjawy, albowiem góra wznosi się wysoko jak trumna na katafalku spowita w biały całun śniegu.

To jest Dolina Diamentowa. A tamta nazywa się Quiriquiri. Ta zaś — Dolina Imienia Jezus.

Rzeki: Calamochita, Uribe albo Guanaków, Chorillo, Ognista, Candelaria (powiedzmy sobie: Gromniczna), Irigoyen. Indianie do dziś dnia łowią w nich ryby lub wypłukują złoto z ich skalistego dna.

U wyjścia — czy jeśli kto chce — u wejścia do Cieśniny Magellana wylania się z morza surowa, poszarpana Wyspa Rozpaczki.

Desolacion.

Był mały, czarny rybak w Antofagasta, miał koślawe nogi. Jechał do Iquique po szczęście, po chleb, strajkował na polach saletrzanych, ledwo zipał z wysiłku, splekoty i przagnienia, po czym zrezygnował, popłynął na południe. On i gromada jemu podobnych roznieśli po odczytanie smutną sławę Wyspy Rozpaczki.

Nazywała się tak jeszcze dawniej; wpięć zanim podbili Chile hiszpańscy żołnierze Valdivii. Tak ją ochrzcił marynarze Magellana.

Mieli za co.

Czteryście lat temu Fernao Magalhaes — piszmy go z hiszpańska Hernando de Magallanes, albowiem zdradził ojczyznę portugalską dla służby u króla Kastylii — wyruszył z flotą pięciu karawel we wrześniu 1519 roku z San Lucar de Barrameda na największą wyprawę morską, jaką zanotowała historia, i poprzez nieustraszoną walkę z żywiołami, chorobami, głodem, buntem załóg odkrył Cieśninę, która nosi dziś jego nazwisko. 27 dni i 27 nocy trwała przeprawa przez miedzymorze pełne zdradliwych kanałów, skał, wirów i wysokie, burzliwej fali. Wyspą Rozpaczki — i słusznie — nazwali marynarze Magellana ten kawałek poszarpanego lądu, który w 27 dniu podróży zagroził im wyjście na szerokie wody. Nie będzie więc końca niewiadomej, niebezpiecznej żegludze? Ale była to już ostatnia przeszkoda. Za nią ukazał się nareszcie bezmiar otwartego oceanu. Nazwali go — po raz pierwszy w geografii — Oceanem Spokojnym, tak wydało im się ciche i gładkie lustro morza po wściekłym szaleństwie Cieśniny.

Od Przylądka Jedenastu Tysięcy Dziewięć po Wyspę Rozpaczki rozciąga się Cieśnina rozciągnięta szczeliną lądu, dwa głębokie fiordy przeciwległe, które się zwały z sobą. Dla czego Przylądek Dziewięć? Ponieważ Magellan zobaczył jego cypel dnia 31 października, który w kalendarzu poświęcony jest pannom-męczennicom. Admirał jako pobożny katolik chrzczył odkrywane tereny imionami świętych.

MIŁOŚĆ BARBARY

Besame mucho. Całuj mnie mocno. Trzeba będzie lat, aby ta żarliwa piosenka kochanków znad Pacyfiku przywędrowała do Europy i stała się przebojem tanecznym Starego Świata. Aby się spospolitowała i zbrzydła. Oto niebezpieczeństwa eksportu i importu.

Całuj mnie mocno. Na imię mi Barbara. Ojciec mój był Polakiem. Umarł już. A ja jestem Chilijką. Umieję tylko po hiszpańsku. Skończyłam osiem klas kolegium salezjańskiego w mieście rodzinnym Punta Arenas. Od niedawna zwie się to miasto Magallanes, ale każdy, kto się w nim urodził, będzie je zawsze wspominał pod starym imieniem: Punta Arenas.

Koło mnie kręci się dwóch Polaków, jeden młody, drugi starszy. Indianka z plemienia Tehuelczów wróżyła mi niegdyś, że jasnowłosy będzie moim wybranym.

Obaj są blondynami. I obaj mają w sobie coś, czego byś na próżno szukał u Chilijczyka. Marzenie i śmiałość w oczach, jedno z drugim. Chilencos są nieśmiały i brutalni, tak przemawia prostactwo. A ci moi obaj — na odwrot: są odważni i delikatni. Tak przemawia z nich Stary Świat, ojczyzna mojego ojca, którego pamięć kocham. Zgubiła Europa, jak piszą w naszych gazetach.

Czyżby tam światał nowy świat, jak mówił mi o tym ojciec?

SONGI INDIAŃSKIE

Już bezpowrotnie wygasli ludzie tej ziemi o rdzawych, drapiejących twarzach: Quechua, Araukan, Chongo, Tehuelche, Alakaluf, Yagana i Ora. Ich niedobitki dogorywają zżerane nędzą, alkoholem, kłją; oto co im przyniosła Europa. Nie wiadomo, czy żyje jeszcze sto tysięcy czystych Indios w republice Chile. Mówię naturalnie o czystych, bo cały prawie naród chilijski pochodzi z Metysów. Ale na ich krwi zbudowano właśnie proletariats mieszany, wyborowy, który się wznosi z domów do wylotu.

Bądźcie pochwaleni Metysi! Czyli białoczerni mieszanci. Robotnicy,

parobcy, górnicy, pastuchy, rybacy. Budownicowie Chile. Maszerujecie z głębi na szczyty, z ciemności do światła. Zrodzeni z krwi dzikich, wojowniczych plemion. Z indiańskich kobiet, które nigdy nie były podległe chorobom.

Bądź pochwalona czerwona kobietol Silna i zdrowa. Matko ludzi pod Krzyżem Południa. Płodna matko Chilijczyków. Ojcowie wasi przybyli tu ze wszystkich zakątków Europy, przynieśli odwagę, energię, fantazję. I przekazali je dzieciom. Ale matki dały wam cierpliwość, wytrwałość i miłość. I jeszcze raz miłość. Cierpliwość pochodzi od cierpienia. Wytrwałość od trwania. A miłość?

Czarna złocona Madonna w ołtarzu, która pamięta państwo jezuitów w puszczach Paragwaju — nie pomaga wam nic. Dziurawicie ją od lat zgłodniałymi oczyma, błagając nadaremnie o cud. Cudów nie ma w nowożytnych czasach. Matka Boska Anielska wyschła już, szerniała od waszych spojrzeń i żarliwych westchnień. Sycicie waszą namiętność w kolorowych procesjach obdarci i boski. Was nie stać na słodczy zernisty, na równą walkę z ciemnością — wyrobniczą, tłumie roboczą, gnoju użyźniającej glebę chilijską. Stopy wasze są twarde i brudne, a głowy stanowią podnóżek tyranów, handlarzy, okrutników.

Oto jest kościół Najświętszej Krwi w Orogaya. Jego posadzkę wydeptały kolana wiernych od dwustu lat. Santisima Sangre. Ale czy nie jest świętą krew tutejszego ludu, mieszańców pacholków i niewolników, nie białych i nie czerwonych, lecz szarobrunatnych, ziemistych bękartów kastyjsko-indiańskich? Domie Złoty, módl się za nami.

To najślynniejszy kościół w Territorio Magallanes. Robotnicy, posłuchajcie. Wasze żony pielgrzymują nocami w góry i zawieszają srebrne pesos (których już dziś mennica nie wybija) na ołtarzu bladej kobiety o rysach infantki z Aragonu. To Nuestra Senora la Reina de los Angeles. Na co pieniądze są potrzebne Królowej Anielskiej? — zapytaacie robotnicy i słusznie. Jej królestwo nie jest z tego świata. Zjedzie tu komisja geologiczna z kraju Jankesów. Inżynierowie i pułkownicy z północy przybywają w misji naukowej dla poszukiwań uranu w Andach patagońskich. Płacą dolarami krajowcom za noszenie bagaży i udział w karawanie.

Oto wasz pot i wasza krew, najemnicy chilijscy. A oto wasze dolary, rzeczoznawcy naukowcy z Estados Unidos Norteamericanos.

LIST Z PUNTA ARENAS

Podaj mi rękę, Barbaro. Muszę pisać prędko. I krótko. Bo nie mam czasu. Bo się boję, że ci nie powiem wszystkiego i odejdę. Ze będę musiał cię opuścić, nie wypowiedział się do końca. Zdania mi się rwa, słowa się płaczą, chce się streszczać. Amputowano mi nogę po udo w szpitalu w Puerto Magallanes — po twojemu: w Punta Arenas — ponurym, zimnym miasteczku nad burzliwą cieśniną.

Wspominam Desolacion. Budynek radiostacji, hangar, do którego wtańczyłem dwumotorowiec, barak, w którym rozmawiałem z Miguelem Segundo. Patrę na północ. Przylądek Pillar; tyle wspomnień! Maruca, Barraganeta, oboje Castellini, Aramayo, Fernanda. Jeszcze dalej na północ — odległa wyspa Madre de Dios, na której zbudowałem lotnisko. Tam był początek tej dziwnej przygody patagońskiej, której na imię Barbara. Na Wyspie Matki Boskiej.

Czteryście lat temu z jakąś radością spoglądał na błogosławione ujście Cieśniny Fernao Magalhaes i na skaliste, nieogólczone brzegi Wyspy Rozpaczki, które wyprowadziły go na otwarty Pacyfik po wielomiesięcznej tułaczce! Tu ukazała się flocie hiszpańskiej droga do złota- i dzisiaj archipelagów. Tu zaczęła się moja droga do życia, a kto wie czy i nie do śmierci!

Leżę w szpitalu. Nie chce umierać. Barbaro! Mój adres: Punta Arenas.

TO, że Europa jest bardzo stara, sędziwa i zgorzkniała, zaczęło być znów widoczne kilkanaście lat temu, gdy musiała pogodzić się z faktem, że spoza niej przybywa ożywiający nurt literatury iberoamerykańskiej. Zarazem ze zjadliwą satysfakcją przypomniano tym pisarzom z Brazylii, Peru, Kuby, Kolumbii itd., których powieści czytano w zapamiętaniu, ich europejskie uwikłania w życiorysach i literackich rodowodach. Robiąc to, starano się nie pamiętać, iż oni sami do szlifowania bruków stolic europejskich chętnie się przyznawali. Przyznawali się w artykułach i w prozie do Bretona i surrealizmu; do Camusa, Sartre'a i egzystencjalizmu; do Dostojewskiego, Joyce'a i do „nowej powieści” — w każdym razie udowodnili, że znają to wszystko. Odkazano również europejski rodowód określenia „realizm magiczny”

gale odwagi wobec tradycyjnie intelektualnej i orientującej się na współczesność w nowocześniejszej cywilizacji twórczości Europejczyków. Powrót literatury na nasz kontynent wydawał się niemożliwy, gdyż Europa uwikłana była w różne „izm” i „realizm”, a tworząc dzieła nowatorskie, intelektualne, ironiczne, eksperymentalne itd., nie tworzyła dzieł pięknych. Na to trzeba było odwagi powiedzenia jeszcze raz wprost, że człowiek nie rozumie, dlaczego śni, dlaczego rozum nie rozwiązuje mu podstawowych kłopotów — jednostkowych, społecznych, politycznych, dlaczego język tworzy metafory, wyobrażenia obrazu widzialnego, kliniki nie leczą destrukcji psychicznych, a bogactwo przedmiotów i idei nie daje wolności. W końcu doszło nawet do tego, że polecając tłumaczom francuskim powieść swego kolegi, ju-

tygu jest nie mniej tajemniczo niż w peruwiańskiej dżungli — jeśli ktoś potrzebuje magii i realizmu jednocześnie. Małecka książeczka Branko Copic'a, pt. „Ikona z kołem”, oddaje cząstkę bizantyjskiego, a nawet azjatyckiego rysu, niewymazywalnego z charakteru narodu, którego losy zaważyły ongiś na dziejach całej Europy. Z tego materiału, wziętego jako tworzywo, powstały postacie dziwne dla Europejczyka, postacie z książki „Czerwony kogut” oraz postać Malicia z „Bohatera na osle”, powstało nowe spojrzenie na umysłowość ludu — słowiańskiego w szczególności.

W „Wieńcu Petriji” D. Mihailovic'a umysłowość tę prezentuje jako mądrość służącą z jednej strony zrozumieniu człowieka za życia, a z drugiej — rozumieniu jego po śmierci, która nie jest odejściem, lecz innym rodzajem obecności. Proza ta nie ma nic wspólnego z ludowością według barwnych „obrazków”, tworzy natomiast literacki traktat o ludowej, słowiańskiej nadwrażliwości.

Temu samemu służy pornografia w powieści „Bohater na osle”. Bulatovic uswiadamił bowiem fakt, że słowiańska świadomość nie umie przeżyć chłodno odsłoniętej erotyki. Pornografia jest tym samym złem, co wojna. Lud głupieje jednakowo od jednego i drugiego. Wprawdzie żadnej nacji nie jest obca wojna i związany z nią brutalny seks, ale Słowianie czują wojnę również jako gnawienie duszy, a nie tylko na ciele. Podobnie jest z powolnym, bizantyjskim lub światowidowo-słowiańskim reagowaniem na politykę i przemiany ideologiczne oraz struktur społecznych. Bulatovic napisał „Bohatera na osle” również po to, by ukazać zderzenie Zachodu i Wschodu Europy, gdzie wszystko w historii było bardziej skomplikowane niż prostackie dyktatory wojskowe Poludniowej Ameryki lub nieokreślone legendy i baśnie Ibero-indiańskie. Jest więc świadomością pojedynczego Maltzia (czyta: Słowianina) doświadczającego rozkojarzenia, to wydołuje się zęby poprzez postawienie pytania o prawdę taką, jakiej pragnie lud.

Nawet „Konstantin Gorca” stworzony przez V. Stefanowicia, ten intelektualista z wielkiego miasta, jest zagubiony jak wółczoga na rozstaju wiejskich dróg, zagubiony w swym wiejskim pochodzeniu, w duchowych perypetiach Serba. „Serbskość” tego pisarza jest bardziej nawet krwista niż „peruwiańskość” Llosy, czy „kolumbijskość” Marqueza. Gorca pyta się stale o prawdę, by zrozumieć swe życie wewnętrzne, a nie tylko by zarejestrować stan swego istnienia i uwikłań jednostki w losie społecznym.

Absurd i prawda — tego nie osiągnęli francuscy i inni egzystencjaliści. Powiedzieli „absurd”, ale dodali doń nieprzekazywalną tajemnicę indywidualną. O absurd otarli się Latynoamerykanie, ale dodali doń tylko magię. Bulatovic i inni do absurdu przymierzali prawdę, tak choćby naiwnie — z pozoru — wypowiedzianą jak w minipowieści, czy dłuższym opowiadaniu Branimira Šćepanovića, pt. „Usta pełne ziemi”. Prawda, a raczej prawdomówność, tkwiąca tu w obrazie, który jak sen mówi o śniącym więcej, niż gdyby próbował to przełożyć na język zdań, zawarta jest jednak w literaturze.

Nie można napisać, że literatura jugosłowiańska jest lepsza od innych, że Bulatovic lepszy od Marqueza. Obaj są podobni poprzez zwrot ku źródłom, skąd pochodzi ich doświadczenie. Słowianom łatwiej zrozumieć Iberyjczyków. Zachód przeżywał ekscytację nowością, myśmy przeżyli identyfikację. Należy jednak wspomnieć, że Maliciowie są nam bliżsi niż Buendiewie.

Prawdomówność w literaturze jugosłowiańskiej nie oznacza jednokonturowego realizmu: człowiek, społeczeństwo są pełnowymiarowe. Bulatovic sam mówi o fantastyce, mistyce i nadrealizmie w swym piśnistrwie i przez to łączy z Marquezem. Zgoda, ale Bulatovic był pierwszy i to on jest europejski, a nie Lima czy Marquez. Powojenna literatura Jugosławii stale odwołuje się do największego doświadczenia słowiańskiej części Europy — do rewolucji komunistycznych. To obrzydliwy kawał prawdy o losach nie tylko tej części świata. Otart się o ów problem Peruwiańczyk Manuel Scorza, ale to w końcu przecież Słowianie zrobili komunizm. Do światowidowej, rzymskiej i bizantyjskiej historii naszych narodów wpisany został nowy rozdział, wobec którego prawdomówność literatury jugosłowiańskiej czyni ją nam wielokrotnie bliższą niż piśnistrwo uczelniczych skądinąd Iberoamerykanów.

Eksplozja literatury serbochorwackiej przyciąga, rzecz jasna, uwagę, ale nie sposób nie wspomnieć, że u początków tego wybuchu (lata sześćdziesiąte) Jugosłowianie otrzymali tłumaczenia Brunona Szulca, jak i tego, że Iberoamerykanie wcześniej jeszcze fascynowali się Gombrowiczem. Nie należy, oczywiście, przeceniać tych faktów, ale pamiętać ich niepodobna.

POWRÓT DO EUROPY

Bronisław Kowalski

i wszystko wydawało się zatawione — oto Cortazar, Marquez, Carpentier, Llosa i inni mają w kieszeniach bilety ze Starego Kontynentu, więc niech świat wie, skąd wracają. Ale oni sami chętnie dopowiedzieli o starożytnej kulturze Europy, o fascynacji dawnym Egiptem, Azją, odkryli swe więzi ze współczesnością — z socjalizmem.

A że stworzyli nową literaturę, której nie tylko nie sposób pominąć, ale która znaczy w ostatnich dwudziestu latach kultury światowej i została głęboko przeżyta nie wyłącznie w krajach południowej Ameryki, więc mieli świadomość odrębności i własnej osobowości, nie kopiującej niczego, co dotychczas stanowiło o literaturze, nawet biorąc pod uwagę europejski barok.

Może przebaczone by jednemu z nich trzem, pięciu, ale runęła lawina talentów, potop oryginalności, dzieł znakomych. Do Llosy, Cortazara, Marqueza, Borgesa, Marqueza dołączyli Donoso, Scorza, Quintela, Fuentes, Soriano, wielu innych. Polska czytelnik, dostający dotychczas z różnych wydawnictw różne artystycznie książki Iberoamerykanów, nagie zobaczył ich w całej serii — i tych z „boomu” i starszych. To było przygniatające. Polscy czytelnicy, którzy wierzyli, że literatura świata składa się z piśnistrwa francuskiego, rosyjskiego, niemieckiego i w XX w. z północnoamerykańskiego, ku swemu zdumieniu przeczytali „Nie ma kto pisać do pułkownika”, a potem „Sto lat samotności”, „Grę w klasy”, „Rozmowę w katedrze”, wreszcie „Werbic żabobne dla Rancasa”, czy „Garabombo zwany niewidzialnym”.

Powrót literatury do Europy wydawał się niemożliwy.

Wartości prozy iberoamerykańskiej są u nas doskonale znane. Kilku śmielszych krytyków nazwało rzecz po imieniu: eksplozja zainteresowania tą prozą wynika z faktu jej piękna. Dopiero potem idą walory polityczne i formalne, odwołania się do magii, do mitów krążących jak krew w żyłach narodów, walory „egzotyczne” wreszcie. Piękno w sztuce wynika z odwagi, zaś odwaga to zachłanność całej pełni swobody — bez ostrożności wobec autorytetów, wobec „ostatecznych” problemów przez nich stawianych bez ostrożności wobec „wielkich” dzieł i kokietyjnej, fałszywej troski, że już wszystko zostało opisane i wszystkie sposoby pisania wyeksploatowane.

Stworzenie nowej literatury, nowych wartości w świecie powieści, nazwanych „realizmem magicznym” — co przy całej niezręczności pojęcia oznacza, że pomiędzy faktami, rzeczami, ludźmi, przyrodą i czasem istnieją powiązania wielokrotne (inne niż przekazywane w doświadczeniu zmysłowym), równie wielorakie jak w magii — wyma-

gostowiański pisarz powoływał się na jej podobieństwo do twórczości Iberoamerykańskiej.

Ten fakt przypomniano we wstępie do polskiego tłumaczenia znakomitej powieści Dragoslava Mihailovića pt. „Wieńcu Petriji”. A już wcześniej i Miodraga Bulatovića przyrównano do Marqueza, jak gdyby dobra literatura współczesna nie mogła być odrębna, równoległa, samodzielna wobec twórczości Iberoamerykańskiej. Przykład Jugosłowian nie jest przypadkowy, gdyż śmiało twierdzić, iż powrót, odrodzenie literatury pięknej w Europie już nastąpił i nie gdzie indziej, jak w Jugosławii. Tam najpełniej i najwyraźniej; ma to kapitalne znaczenie dla prozy w ogóle, a zwłaszcza owego kraju. Jednocześnie nie wolno pominąć faktu, iż podobnie znaczące zjawiska odnotować można zarówno w literaturze polskiej, jak i w radzieckiej (np. Bułhakow, Szukaszyn, Trifonow).

Nie zawsze tak było — mogliśmy to w Polsce również obserwować — że literatura jugosłowiańska wzrosła się na szczyty artystycznego. Otrzymaliśmy w swoim czasie powieści takie, jak np. „Nie budź śpiących psów” G. Olujic'a, „Zdrójcy” A. Soljana, „Chwila dziwnej życzliwości” S. A. Pavića, czy A. Tisny „Siadem czarowność dziewczyny”. Literaturze jugosłowiańskiej, do czego przyznał się sam Bulatovic, zaszkodził ten sam trend, który osłabił wiele innych literatur słowiańskich przed trzydziestu laty. „Gdy zacząłem pisać, wielu myślało, że jest to literatura inspirowana różnymi innymi literaturami. Początkowy okres mojej twórczości pokrywał się bowiem z czasami sprzeciwu wobec pewnych jałowych oficjalnych zasad. Istniał wtedy zalew rozmaitych „izmów”, skierowanych przeciw temu sklerotycznemu „izmowi”, od którego zresztą szybko odeszliśmy. I wszystko, co było mu przeciwnie, stało się na swój sposób bardzo modne” — powiedział redaktorom „Literatury na świecie” (1978 nr 8) autor „Czerwonego koguta”.

To powieść, czyli „Czerwony kogut leci wprost do nieba”, wyprzedziła nasze spotkanie z magicznym światem, jaki przypisano potem literaturze iberoamerykańskiej. Znana w Polsce od 1964 r., zafascynowała krytyków, doczekała się inscenizacji teatralnych, a była to przecież zapowiedź nadchodzących z Jugosławii trendów, ba, była to jeszcze bardziej prekursorska twórczość, gdyż wówczas „boom” piśnistrwa Ameryki Łacińskiej zaledwie się poczynał.

Jugosłowianie zwrócili się ku specyfice myślenia i wizji świata, jaką prezentowały przemieszane narodowościowo, religijnie, historycznie i politycznie ludy ich kraju. Był to i jest tygiel, w którym, jak wszędzie na „pograniczu” powstaje odmiennost fascynująca swymi podobieństwami do wszystkiego, co ją otacza, ale zupełnie jedyna i niepowtarzalna. W serbochorwackim

ZUST dyrektora i redaktora naczelnego Wydawnictwa Lubelskiego, Ireneusza Cabana, padło niedawno zdanie: „Muszą coś się stać, i to najpóźniej w przyszłym roku, coś pozytywnego, gdy chodzi o przydział papieru, wydajność poligrafii, bo osiągnęliśmy próg, po którego przekroczeniu ciężko mówić o dalszym rozwoju wydawnictwa”. Brzmi to alarmistycznie i trudno to ocenić kwestionować. Lubelska oficyna w pięciolatce, która miją, rzeczywiście rozwinęła się bardzo, podjęła wiele edytorskich inicjatyw: obligują ją one do kontynuowania ich w przyszłości. Mam tu na myśli serie „Dokumenty naszej tradycji”, wspomnieniową, cykl wydawnictw o Polsce „Wielki Tworzący”.

Nadto polityka wydawnictwa zmierza do rozszerzenia przekładów literatur sąsiadów, (głównie z ukraińskiego i białoruskiego), a przecież sporą tradycję ma już Lubelska Biblioteka Poetycka”. Rozszerza się też liczba książek dla dzieci i młodzieży, a środowisko literackie regionu jest coraz większe, stąd jego spodziewania w działach prozy, poezji, dramatu i krytyki wzrastają nieustannie. Wraz z rozwojem dyscyplin humanistycznych w lubelskich wyższych uczelniach plany wydawnicze muszą też uwzględniać coraz więcej książek naukowych i popularnonaukowych. Tymczasem wspomniany próg...

Dynamika rozwoju Wydawnictwa Lubelskiego jest duża. Corocznie powiększa ono plany w liczbie tytułów, arkuszy autorskich i nakładach, a program obecnej pięciolatki został, mimo wszystkich trudności, już teraz, na początku II kwartału, w zasadzie zrealizowany. Jeżeli np. tak wielki wydawca jak „Czytelnik” ma w roku obecnym dać 250 książek, a lubelski 78, to ostatnie będzie niemalym osiągnięciem. Tak, ale napór autorów z dobrymi i bardzo dobrymi propozycjami na Wydawnictwo Lubelskie trwa. Aby te potrzeby zaspokoić już dzisiaj, należałoby przekraczać rocznie 100 tytułów. Tymczasem dopiero za trzy lata uda się tę liczbę osiągnąć. Wtedy również wysokość rocznego nakładu wzrośnie do dwóch i pół miliona egzemplarzy.

Stwierdza się coraz dowodniej, że w Polsce raczej papieru jest dosyć, ale łatwiej zle rozdzielni. Wynika to wyraźnie z opracowań warszawskiej organizacji partyjnej literatów. Skoro jednak uchwała zjazdowa PZPR przewiduje dość wyraźne zwiększenie efektów wydawniczych w drugiej połowie przyszłej pięciolatki, można oczekiwać, że produkcja papieru i jego rozdział ulegną poprawie, że zainwestuje się określone kwoty w rozbudowę i modernizację poligrafii.

Tymczasem wciąż za mało w stosunku do zadań zespół Wydawnictwa — kieruje swoje ambicje na dalsze podnoszenie wymagań edytorskich. „Nie możemy na razie wydawać tyle, ile podpowiadałyby twórczość literatów i naukowców, zabijamy więc o wyższy poziom książek” — powiedział sobie redaktorzy oraz dyrekcja. Służy temu surowsza selekcja, ostrożniejsze podpisywanie umów z autorami, ale i dłuższa współpraca z nimi, konsultacje, których celem jest doskonalenie utworów. Wysiłki te zostały zauważone przez krytykę literacką i naukową, szczególnie w czasopiśmie ogólnopolskich, również jurorzy krajowych konkursów niejednokrotnie już nagradzali autorów Wydawnictwa Lubelskiego za książki w nim się ukazujące.

Autorami współpracującymi z Wydawnictwem są przede wszystkim lubińskanie, co jest zgodne z ideą powołania kiedyś tej placówki, ale z planów widać, że książki proponują tej oficynie pisarze i naukowcy także spoza Lubelszczyzny. Nie uważa się ona za regionalną, ale ogólnopolską, jak wszystkie pozostałe. Widzi jedynie swój główny zespół autorski na miejscu, podejmuje też wiele tematów z obszaru środowiskowskiego, bo rzadko kto inny je dostrzeże. Inicjatywa członków Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich jest wciąż jakby za la-

Iubelska

godna. Natomiast wydawca odczuwa silny napór młodych talentów, ich ofensywności coraz trudniej sprostać, ale ukazanie się almanachu „Akcent” jest przecież pozytywną odpowiedzią. Również duży wpływ na kształtowanie się profilu mają ludzie nauki, głównie wspomniani humaniści. O historykach już wiadomo, napisaliśmy o ich seriach, odnotować można by wiele indywidualnych, a znaczących pozycji. Ostatnio jednak inny jeszcze kierunek utworzył sobie drogę, stąd zrodziły się serie: „Konfrontacje filozoficzne” oraz „Człowiek i świat człowieka”.

Wydawnictwo powstało przed dwudziestu jeden laty z myślą o zaspokojeniu potrzeb ówczesnego środowiska literackiego w regionie, a tak znacznie wyszło — wynika to z powyższych danych — poza urodzinowe założenia. Zliczmy tytuły powieści, zbiorów opowiadań, tomików poezji, baśni, przekładów z jednej strony oraz książek naukowych i popularnonaukowych z drugiej, dynamika okaże się wyraźna. W roku 1977 pozycji literackie ukazało się 31, a tych drugich tylko 14. Po roku pierwszych — 33, ale naukowych 19. W 1979 r. pisarze utrzymali się w tej samej liczbie, lecz humaniści dali czytelnikom 26 pozycji. Plan obecnego roku zapowiada, że ci ostatni zwiększą statystykę o jedną książkę, ale pisarze osiągną 41 tytułów. Rzecz zrozumiała, że cienki tomik poetycki w nakładzie kilkuset egzemplarzy trudno przyrównać do grubego tomu książki naukowca, choć i w tej grupie np. seria „Dokumenty naszej tradycji” to całkiem szczupłe broszury.

Liczby okazują się jednak bezwzględnie przychylnie literatom, gdy chodzi o wysokość nakładów ich prozy, a szczególnie tzw. pozycji dla dzieci i młodzieży. W mijającej pięćdziesiątce mogłyby one być wyższe o 2324 800 egzemplarzy (o tyle mniej otrzymały księgarnie w stosunku do swoich zamówień) i przysporzyć zysków, gdyby starczyło papieru, a drukarnie były przygotowane do wykonania tego zadania. Nadto hurt księgarski pragnie co roku wznowienia około 25 tytułów, chce więc przyjąć dodatkowo 700 000 egzemplarzy. W takich wciąż ponawianych propozycjach mieści się również czytelnicza ocena. Niestety, z wiadomych przyczyn sprostać temu społecznemu zamówieniu nie sposób.

Cały państwowy ruch wydawniczy, mimo ograniczonej ilości tytułów i nakładów, o których tu była mowa, dał państwu 600 000 000 zł czystego dochodu. Oficyna Iubelska ze znakiem firmowym koziołka miała także w tej sumie swój udział, dała bowiem prawie 6 100 000 złotych zysku. Liczba ta mogłaby być wyższa, ale widoczne jest wyraźnie, że Wydawnictwo nie dąży do windowania cen. Andrzej Wasilewski, dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego, udowodnił niedawno w „Literaturze”, że złotówka dewizowa wydana na zakup papieru użytkowanego na książki pomnaża się wielokrotnie i to nie tylko w pozycjach albumowych. Jest to po prostu złoty interes, a popyt czytelnicy wydaje się nie mieć kresu.

W dyskusji przedwyborczej zgłoszono niezwykle tani i ekonomiczny sposób rozszerzenia Iubelskich Zakładów Graficznych. Bada go kompetentna komisja, zdaje się potwierdzać trzykrotny wzrost możliwości drukarni dzielowej. Wydawnictwo Iubelskie najwięcej swoich tytułów umieszcza w planach drukarni w Lublinie i Rzeszowie, więc nadzieje te warto pielegnować. Najtrudniej zdobyć wykonańców tych książek, które wymagają twardej oprawy. W ogóle, gdy obserwuje się szamotanie, w jakiej przypada wydawcom Iubelskim pracować, trzeba podziwiać, że potrafią oni utrzymać dynamikę wzrostu tytułów, nakładów — owe spodziewane dwa i pół miliona egzemplarzy rocznie — i jakości książek firmowych znakiem koziołka.

Aleksander Jański

slugowe w Puławach i w Lublinie. Zapełnione poprawia humor taka ciepła korespondencja.

— Jeśli klienci piszą do nas, to dają wyraz swym spostrzeżeniom o naszych sklepach, ludziach tam pracujących, stanie zaopatrzenia. Od dwóch lat jest spadek skarg na jakość obsługi, a dużo na jakościowe braki towarów. Możemy więc powiedzieć, że praca naszych ludzi jest coraz lepsza. Istnieje u nas klub handlowca, poprzez który staramy się wytworzyć dobrą atmosferę wokół nowo przyjmowanych do pracy młodych ludzi. W tym klubie mówi się nie tylko o sprawach zawodowych, których znajomość oni wynoszą ze szkół, ale bardziej o sprawach ogólnych, związanych z życiem kraju, województwa.

— O tym to oni się mogą dowiedzieć z telewizji.

— To jest wbrew pozorom ważna działalność, bo chcemy, żeby młodzi handlowcy mieli odpowiednią wiedzę, nie tylko fachową. Np. kiedyś było spotkanie z podróżnikiem po Tybecie, a druga część spotkania dotyczyła struktury naszego przedsiębiorstwa.

— To może młodzi handlowcy będą wiedzieli sporo o Tybecie, ale czy wiedzą, że klient ma prawo grymasić i oczekiwać od handlowca dobrego handlowania?

— Oni wiedzą o tym, wiedzą, pod tym kątem są kontrolowani. Od dwóch lat posługujemy się hasłem o aktywnej postawie sprzedawcy, co znaczy, że powinien on być doradcą klienta. A jeśli chodzi o stosunek do klientów, to młodzi są niekiedy uprzejmiejsi od starszych, których czasem nerwy ponoszą.

— Ano właśnie: nerwy. Czasem mam wrażenie, że stosunek sprzedawcy do klienta zależy od subiektywnych uczuć, samopoczucia, „widzimiście” itd., a nie jak w fabryce, gdzie praca to praca i nie ma mowy o prywatnych fochach. Przecież to klient daje pracę sprze-



Klient może kupić, lub nie kupić...

Fot. W. Stępień

dawcy w ostatecznym rachunku, a nie dyrekcyja WPHW. Klient to pracodawca handlowca i może wymagać, żeby nerwy chował „pod lodę”.

— Trzeba powiedzieć, że gdy ktoś idzie do pracy w handlu lub do szkoły handlowej, to robi to świadomie, z wyboru, więc rozumiałe, że sprzedawca musi być doradcą klienta, właściwie jego przyjaciелеm. Na przykład w sporze między ekspedientem a klientem kierownik sklepu powinien zawsze oddać satysfakcję kupującemu. Ale dyskusyjny jest, czy właściwszą metodą to tylko uśmiech sprzedawcy, gdy towaru brakuje, lepsza jest

Prawo do grymaszenia

rzeczowa informacja o tym, kiedy towar będzie lub jaki kupić w zamian. Chodzi o to, by niezależnie postępowanie sprzedawcy od asortymentu oferowanego klientowi. Robimy to przez system samoobsługi i system wynagradzania prowizyjnego sprzedawców.

— Żeby ekspedient był zainteresowany w sprzedawaniu?

— Tak. Do niedawna obowiązywał system premiowy — wykonanie 100 proc. planu i premia. Sprzedawca nie był zainteresowany przekraczaniem planu. Lepsza organizacja to także sklepy agencyjne, których obecnie mamy 51.

— Czy pamiętacie panowie hasło „Klient nasz pan”? Jakoś znikło ze sklepów, więc kim jest teraz klient dla handlowców, skoro wasze hasła dotyczą sprzedawców?

— To hasło obowiązuje nadal, i tym, że jednak inaczej to wypada w sklepie agencyjnym, bo tam leś groszy idzie do kieszeni agenta. W innym systemie nie jest ono tak widoczne, ale obowiązuje.

— No tak, lecz określenie „rynek konsumenta”, a nie producenta, nadal pozostaje życzeniem.

— W ostatecznym rachunku jest to rynek klienta, bo on może kupić lub nie kupić, ale w stosunkach handel—przemysł rzeczywiście dominuje rynek producenta. Potwierdza się to na giełdach w Poznaniu. My handlowcy jesteśmy zmuszeni kupować to, co nam daje przemysł.

— Sami więc jesteście klientami i możecie grymasić.

— Jak nasz klient ma żal do nas,

spokość zapotrzebowanie na oba typy kuchenek.

— Czy WPHW może się liczyć z gustami klientów, skoro nie ma cię konkurencji?

— Mamy! Mamy konkurencję — domy „Centrum”, handel wiejski, sklepy fabryczne itp. Staramy się więc, żeby klienci przychodzili do nas, a nie do „Chelmka”, do sklepów „Lubgali”, czy spółdzielczości pracy. My mamy bogatszy asortyment i nie boimy się konkurencji. Nie może pan powiedzieć, że na przykład „Telimena”, „Ada” lub „Kmicie” to źle zaopatrzone sklepy.

— Tak, ale w „Kmicie” widziałem, jak ekspedientka nie chciała przyjąć do zwrotu koszuli męskiej od klientki. A reklamacje to przecież główny wyraz grymaszenia klientów.

— Nie jest tak, że w „Kmicie” nie przyjmujemy reklamacji, ale tam się sprzedaje bieliznę osobistą i jeżeli nie było wad arterykuła, to na bieliznę zwrotu nie powinno być.

— Co to znaczy, żeby handlowcy mówili: „zwrotu nie powinno być”?

— No tak, nie możemy powiedzieć, że sprzedawca źle zrobił. Nie mógł przyjąć koszuli do wymiany tylko dlatego, że okazała się po przymiarce za mała.

— Ależ nawet w tym przypadku, wydaje mi się, sprzedawca powinien bez zmuszenia powieki zabrać koszulę i dać inną. Bo to przecież i jego wina, że nie dopytywał się klientki o rozmiar męża czy syna, nie doradzał, nie sprawdził. Zle zrobiono robotę w sklepie, więc o co chodzi? Wasza strata.

— Przyjmujemy reklamacje w innych przypadkach, ale to nie dotyczy bielizny osobistej.

— Nie dogadamy się, widzę. A poza tym wydaje mi się, że handlowcy nie wiedzą zbyt dokładnie, jakie są wymagania klientów.

— Gdybyśmy opierali się na tym, co nasi klienci powiedzą, to rzeczywiście nie wiedzieliśmy, ale przecież mamy rozbudowany system analizy rynku. Kierownicy sklepów notują uwagi o sprzedaży towarów i potem się je analizuje na spotkaniach branżowych. Mamy dokładne rozeznanie, jaka jest sytuacja rynkowa w każdym asortymencie. Stawiamy sprawy tak — nie to, co przemysł może oferować, ale to, co my potrzebujemy od przemysłu. Oferta przemysłowa i nasza to konfrontacja potrzeb i możliwości.

— Konfrontacja, a więc tarcia, zderzenie, a nie wspólna realizacja wymagań klientów.

— To przede wszystkim zależy od możliwości produkcyjnych. W jednych dziedzinach jesteśmy lepsi, w innych gorsi w świecie. Ale co byśmy nie mówili, nasze panie pięknie się ubierają. Ładniej niż w innych krajach.

— A pan, dyrektorze, ma spodnie z „Mody polskiej”?

— Nie, szylem u krawca, prywatnie.

— Zastanawiam się, czy argumenty panów są do przyjęcia dla kupujących.

— My nie oczekujemy, żeby nam klienci przyklaskiwali. My też grymasimy. Chcielibyśmy więcej określonych, lepszych wzorów towarów. Nie rozgrzeszamy przemysłu — obniżamy ceny, zwracamy towary. W ub. roku fabryki poniosły 7 mln zł kosztów za złą jakość wyrobów dostarczonych nam. Największe zastrzeżenia mieliśmy do przemysłu meblarskiego, radiotelewizyjnego, do przemysłu lekkiego, głównie dziewiarskiego i do obuwniczego. Znamy swój zawód i wiemy, gdzie są luki.

Rozmawiał Karol Mucha

Wołanie o uczciwość

NAJNOWSZY film Andrzeja Wajdy „Dyrygent” mówi o tym, że sztuki nie można jedynie chcieć uprawiać, choćby się miało nawet najbardziej odpowiednio po temu predyspozycje. Prawdziwym twórcą jest dopiero ten, kto potrafi się sztuce poświęcić. Kto jest całkowicie uczciwy wobec idei, której się oddał. Nie pierwszy raz Wajda penetruje ów obszar: sztuka-twórca, idea-uczciwość. Podobne problemy przewijały się i przez „Wszystko na sprzedaż”, przez „Polowanie na muchy” czy wreszcie — „Bez znieczulenia”. W pierwszym przypadku chodziło o środowisko aktorskie i filmowe, w drugim o „artystyczne” w ogóle, w „Bez znieczulenia” — o pisarskie, dziennikarskie. Tym razem sięgnął Wajda do świata muzyki. Akcją „Dyrygenta” rozgrywa się w środowisku artystów-muzyków, główne dramatis personae, to wielki dyrygent, dyrygent mierny oraz utalentowana skrzypaczka; wszystko zaś spowite jest w dźwięki V Symfonii — Ludwiga van Beethovena. Muzyka nie jest zresztą w „Dyrygencie” tylko tłem akcji, zajmuje — jak to więc ostatnio coraz częściej dzieje we współczesnym kinie — pozycję równorzędną z obrazem, sztuką aktorską, literaturą. Warto też zwrócić uwagę na przekształcający się w ciągu ostatnich lat stosunek Wajdy do kobiety: od jawnego mizoginizmu w „Polowaniu na muchy” po dominującą rolę kobiety w życiu uczuciowym, jej pozycję jako strażniczki równowagi rodzinnej i ostoi mężczyzny — najpierw w „Pannach z Wilka”, a teraz, szczególnie, właśnie w „Dyrygencie”.

Prosty z pozoru wątek dramaturgiczny „Dyrygenta” dotyka przecież całego szeregu niezwykle ważkich i złożonych problemów, których starczyłoby na kilka osobnych filmów. Tym bardziej ostatnie dzieło Wajdy skłania do snucia osobistych refleksji, zmusza do myślenia. Może zresztą właśnie o to reżyserowi chodziło, gdy decydował się na kręcenie „Dyrygenta” w sposób niezwykle oszczędny w sensie plastycznym — kameralny, „telewizyjny”.

Kanwą fabularną jest w „Dyrygencie” historia młodej pary muzyków: skrzypaczki i dyrygenta, pracujących w niewielkiej orkiestrze symfonicznej w prowincjonalnym mieście. Wszystko układa się dobrze do chwili, kiedy Marta (Krystyna Janda) otrzymuje stypendium artystyczne Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych poznaje wybitnego dyrygenta, Johna Lasockiego (postać tę odtwarza utalentowany angielski aktor polskiego pochodzenia, John Gielgud), który kiedyś kochał się w jej matce i przed laty, z powodu niespełnionej miłości, wyjechał za granicę. Poruszony spotkaniem Marty, postanawia Lasocki odwiedzić kraj oraz swoje rodzinne miasto. To samo, w którym teraz pracują Marta wraz z mężem.

Przyjazd światowej sławy dyrygenta to ogromne przeżycie dla tutejszej orkiestry symfonicznej, dla zafascynowanej nim Marty, a najbardziej może dla kierującego orkiestrą Adama (Andrzej Seweryn), który w tym przyjeździe widzi olbrzymią szansę dla siebie. Szansę nawiązania kontaktów w skali międzynarodowej, możliwość światowej kariery. Tym bardziej, że prowadząca teraz próby pod batutą samego Johna Lasockiego orkiestra przygotowuje się do swego pierwszego wielkiego występu. Za pośrednictwem telewizji obejrzy ją i usłyszy nie tylko cała Polska, ale także wiele krajów na świecie.

Lecz tu zaczynają się problemy. W konfrontacji z artystyczną osobowością Lasockiego staje się coraz bardziej widoczna mialkość i przeciętność Adama. Nie tylko jako artysty, ale również jako człowieka. Zazdrość, konformizm, brak własnego zdania, brak prawdziwego zainteresowania ludźmi (i — być może — nawet muzyką?), którymi dotąd dyrygował i chce dyrygować nadal, wymagają przede wszystkim absolutnego, bezmyślnego posłuszeństwa, to wszystko uwidacznia się nagle wyraziście przed oczyma Marty i całej orkiestry, na zasadzie kontrastu, w czasie prób prowadzonych przez Lasockiego.

Lasockiego zna się w świecie z chimeryczności, trudnego charakteru, wybuchów gniewu, ale jest on zarazem w pełni oddany sztuce i... ludziom. Rozumie i kocha. Bo wie, że jedno nie może istnieć bez drugiego. Ten stosunek do sztuki i do ludzi, którymi przychodzi mu kierować, uwydatnia się w sposób szczególnie dobitny w momencie, gdy przed oczekiwaniem przez wszystkich koncertem Lasocki orientuje się, że „dla dobra sprawy” podmiłeniono w zespole niektórych artystów sprowadzonych specjalnie z Warszawy filharmoników. „To nie jest moja orkiestra, nie będę dyrygował!” — mówi z oburzeniem. I wychodzi z sali.

Problemy sztuki zwiążają się dla Marty z problemami osobistymi: czy ma odejść, poświęcając się tylko muzyce, która wydaje się być jej całym życiem, czy powinna zostać z mężem, któremu jest potrzebna, z dzieckiem, z rodziną, choć, najprawdopodobniej, zlamie jej to życie?

W „Dyrygencie” Marta wydaje się być jakby Agnieszka z „Człowieka z marmuru”. Tylko — starszą o kilka lat, bardziej dojrzałą, głębiej rozumiejącą sprawy otaczającego ją świata. (W pierwszej „nowojorskiej” sekwencji filmu Marta poprzez swój ubiór, sposób chodzenia, zachowanie, bezstannie przychodzi na myśl tamta postać, stworzona także przez Krystynę Jandę). I bardziej niż Agnieszka skłonna do wyrzeczeń dla obrony rodziny, miłości, własnego człowieczeństwa...

Lecz problemy zawarte w „Dyrygencie” wciąż nie stają się przez to mniej ważne. Zresztą, czy dotyczą one jedynie spraw sztuki i miejsca artysty w świecie? Jego uczciwości? Czy filmu Wajdy nie należy — kolejny raz — rozumieć jako wielkiego uogólnienia?

M.D

OCIEŻKIEJ chorobie Alka wiedziałem już od dawna: nowotwór mózgu, lekarze nie dawali nadziei. Pisałem do niego na początku roku, prosząc o tekst związany z 35-leciem zdobycia Wału Pomorskiego, kampanii Ludowego Wojska Polskiego, w której On bezpośrednio uczestniczył. Mój list pozostał wówczas bez odpowiedzi. Ale w marcu otrzymałem krótką kartkę, pisaną na maszynie (zwykle Alek skreślał tych kilka słów odręcznie) z obietnicą, że przyśle do „Kamenu” artykuł na temat rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem. Myślałem, że poczuł się lepiej. Niestety... 12 kwietnia dowiedziałem się z radia, że Alojzy Sroga nie żyje. Miał tylko 52 lata...

Znaliśmy się od 1947 roku, kiedy to podjąłem współpracę ze „Sztandarem Ludu”, przygotowując z ramienia Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie” stałą kolumnę pt. „Sztandar Akademika”. Ciężko pióro Alka stanowiło wówczas cenny nabytek. W swoich wspomnieniach pt. „Studenckie lata” (Wydawnictwo Lubelskie 1968 r.) pisał On na ten temat: *Współpracowałem z tym dodatkiem stale i — dużo. Ba, człowiek był młody — i szargał wszystkie świętości, łącznie z Ministerstwem Oświaty. Zdarzało się, że wiadomości i felietony za pośrednictwem „Sztandaru Akademika” trafiały i do pism warszawskich, choćby do świetnie redagowanego [...] „Przeglądu Akademickiego”. Gdy wykpiłem Ministerstwo Oświaty z powodu żądania — ponownie — zaświadczenia ode mnie, że zapłaciłem podatek, bo bez tego nie można mi wydać paszportu na wyjazd do Czechosłowacji, onże „Przegląd Akademicki”, którego też byłem współpracownikiem, pocieszył mnie, nie wiedząc zresztą o kogo chodzi, tymi oto słowy: „Głowa do góry, kolego! Nie traćcie nadziei na wyjazd! Tylko co będzie, jeśli za cztery lata dostaniecie piśmiśko z Min. Oświaty z prośbą o nadesłanie zaświadczenia z Rektoratu, że jesteście (znowu?) studentem, „zaświadczenie bowiem złożone uprzednio przestało być aktualne!”*

Alek po zdemobilizowaniu z wojska (a oficerem był dzielny — dwukrotnie odznaczono Go Krzyżem Walecznych) rozpoczął studia chemiczne na UMCS-ie. Trochę mnie to dziwiło: On, mający taką łatwość pisania, wybrał nauki ścisłe? Kiedy Go indagowałem w tej sprawie, odpowiadał: „Wszystko może się w życiu przydać. Tadeusz Boy Zeliński był lekarzem. I co? Czy ten zawód przeszkadzał mu w pisaniu?”

Nie wiem, czy te studia przydały Mu się kiedykolwiek. Może jednak nauczyły go realizmu. Jego pisarstwo, poświęcone głównie kampaniom wojennym Ludowego Wojska Polskiego, zawsze trzymało się ziemi: było rzetelnie udokumentowane. Ziemi był też zawsze wierny w dostownym tego słowa znaczeniu — dużo pisywał na tematy rolne. W redakcji „Sztandaru Ludu” Alek —

początkowo współpracownik, a później pracownik etatowy — długo nie zagrzeł. Po rocznym kursie dziennikarskim w Warszawie przeniósł się na stałe do stolicy. Agencja Robotnicza, „Trybuna Ludu”, „Trybuna Wolności”, „Trybuna Mazowiecka” i wreszcie Polskie Radio, gdzie chyba czuł się najlepiej — to kolejne etapy jego dziennikarskiej działalności. Przed przejściem na rentę piastował funkcję zastępcy redaktora naczelnego III programu. W nekrologu na łamach „Życia Warszawy” koledzy i przyjaciele z redakcji PR napisali: *... zmarł Alojzy Sroga [...] nieodżałowany zwierzchnik, wsparty Człowiek.*

Nasze drogi rozeszły się z chwilą, gdy Alek znalazł się w Warszawie. Już tylko na odległość mogłem śledzić rozwój Jego talentu. Bezpośrednie spotkania należały do rzadkości. Ale, gdy do nich dochodziło, zawsze wracał myślami do Lublina, z którym był serdecznie związany.

W swoim dorobku pisarskim Alek pozostawił ponad 20 książek, wśród nich zbiory reportaży i publicystyki („O fabrykach chleba złe i dobre” — 1956. „W kraju tulipanów, krów i polderów” — 1963. „Ziemia i ludzie” — 1965) i pozycje beletrystyczne, takie np. jak „Jednostka 08205” — 1960. „Na dawnych okopach” — 1962. „13 wujkowych opowieści o żołnierskim ekwipunku” — 1964, czy późniejsze — „Adam”, „Chłopcy spod Lenino”, „Chłopcy w Berlinie”. W 1962 r. na ogólnopolskim konkursie ZLP i LSW na powieść współczesną otrzymał I nagrodę za książkę „Pożegnania i powroty”. Natomiast jego monografię „Początek drogi Lenino” wyróżniono nagrodą I stopnia Ministerstwa Obrony Narodowej.

Nam w „Kamenu” było szczególnie miło, że zawsze mogliśmy liczyć na jego współpracę. Wiedziałem, że przed 12 października, Dniem LWP, mogę do niego napisać z prośbą o nadesłanie okolicznościowego tekstu. Alek nigdy nie odmówił. Bywało też, że sam proponował tematy, związane z regionem lubelskim. Zawsze, jeżdżąc po całym kraju rzetelnie zbierał materiały, przeprowadzał liczne rozmowy.

Ostatni raz widziałem Go w październiku ub. r. Na ekranie telewizyjnym, kiedy brał udział w turnieju „Kto z nim wygra”. Wiadomo, że chodziło o udział Ludowego Wojska Polskiego w rozgromieniu faszyzmu. Wygrał. Jakże mogłoby być inaczej?! Ale najwyraźniej czuł się nieco stremowany tym egzaminem. Ostatnim w życiu...

Zegnaj Alku! Zachowamy Cię w pamięci, a Twoje książki zawsze już będą wzbogacać wiedzę dzisiejszego pokolenia i tych, które przyjdą, o trudnych latach 1944—1945.

M. A. Jaw.

P.S. A swoją drogą Wydawnictwo Lubelskie mogłoby wznowić „Studenckie lata”, książkę — dokument, napisaną z taką swadą!

KRONIKA KULTURALNA

● Wspólna sesja Miejskiej Rady Narodowej i Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Zamościu zainaugurowała obchody 50-lecia „Padwy Północy”. Dnia 9 i 10 kwietnia, w ramach sesji, odbyły się dwa posiedzenia poświęcone tradycji humanistycznej, równoległe budujemy Zamość nowoczesny, spełniający potrzeby i oczekiwania dzisiejszych oraz przyszłych jego obywateli — oto główna myśl wystąpienia przewodniczącego obchodów jubileuszowych, I sekretarza KW PZPR, Ludwika Mańkiewicza.

● W wirydarzu Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Lublinie otwarto wystawę poświęconą pamięci młodzieży lubelskiej, poległej w II wojnie światowej. Ponad 300 fotografii, listy i obrazów koncentracyjnych, obwieścić miały z nazwiskami rozstrzelanych Polaków, seszty i świadectwa szkolne — wszystkie to dokumenty, zebrane przez sędziego Sławomira Litwińskiego, sugestywnie przypominają tragedię sprzed lat.

● Po ekspozycjach w Berlinie Zachodnim, Czechosłowacji, NRD i Związku Radzieckim wystawa plastyczna „Przeciw wojnie”, od lat organizowana przez Państwowe Muzeum na Majdanku i inne instytucje lubelskie, odwiedzi Odesę i Wołgograd, Sofię i Wiedeń.

● Będąc w Krańniku, warto zobaczyć szkolną izbę tradycji w Liceum Ogólnokształcącym. Odziedziczył ją m. T. Kościuszki, u-

ządaną i prowadzoną przez Ryszarda Nowosada. Liczne ekspozyty obrazują dzieje samej szkoły i działalność ludzi z nią związanych oraz okres okupacji niemieckiej na tym terenie (swięta zbrojna z hitlerowcami, tajne nauczanie i inne fakty).

● „Artyści UMCS” to tytuł wystawy czynionej w lubelskim BWA, a przedstawiającej twórczość wykładowców Instytutu Wychowania Artystycznego tej uczelni. Ekspozycja dobrze informowała o zainteresowaniach twórczych malarzy, grafików i rzeźbiarzy, pracujących w uniwersytecie. Rzecz warta kontynuacji w następnych latach, może na zasadzie biennale.

● W drugiej połowie kwietnia czynne były w lubelskim BWA dwie wartościowe wystawy: malarstwa Jana Popka i tkaniny Wojciecha Sadleja. (Do pierwszej z nich powrócimy w recenzji).

● „Galeria 77” w Chełmie prezentowała twórczość Wandy Górkowskiej z Wrocławia, a obecnie przygotowuje pośmiertną ekspozycję malarstwa Mariana Bogusza, wybitnego artysty i animatora życia plastycznego, znanego z działalności także na terenie Lublina (Instytut Wychowania Artystycznego UMCS). „Lubelskie Spotkania Plastyczne”.

● BWA w Zamościu ogłosiło konkurs na plakat tematycznie związany z dzieckiem. Przygotujmy, że miasto organizuje Cen-

trum Twórczości Dzieci i Młodzieży.

● W województwie lubelskim istnieje 483 zespoły artystyczne amatorów, z czego 168 zajmuje się muzyką, śpiewem i tańcem, a 127 — różnymi formami ekspresji teatralnej. Cały ten ruch, wykazujący tendencje rozwojowe, był przedmiotem uwagi Egzekutywy KW PZPR, która wskazała na dobre skutki patronatu instytucji kulturalnych i zakładów pracy nad zespołami amatorów.

● W maju rozpoczyna się trzeci plener twórców ludowych, organizowany przez Parczewski Dom Kultury. Tematem tegorocznego spotkania ponad 20 osób będzie „Sport w sztuce ludowej”, a rezultatem — stosowne rzeźby w drewnie „w wysokości od 1 do 4 m”.

● Członkowie Międzywojewódzkiego Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług dla województw chełmskiego i lubelskiego przekazał 15 tys. zł na rewaloryzację lubelskiego Starego Miasta — co odnotowujemy z przyjemnością.

● Na ogólnopolskim festiwalu „Jazz nad Odrą — 89” we Wrocławiu jedną z dwóch nagród w kategorii solistów otrzymał Roman Dubieński, flecista, student kierunku muzycznego w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS. Nasze gratulacje.

● Muzeum Okręgowe w Lublinie przygotowało wystawę fotografii miasta sprzed ok. 80 lat, dołączając do tego zestawu zdjęcia współczesne tych samych obiektów. Pomysł nie mieścił się w obszarze pt. fotografia jako sztuka czy sztuka w fotografii, ale na pewno zaciekał. Pójdmy więc „na Zamek” i napiszmy następne do „Kamenu” o swoich wrażeńach.

AŁŁA PUGACZOWA

LUBLIN

15 IV 1980

Fot. Waldemar Stępień



MIALEM pewną drobną sprawę, której jednak od dłuższego czasu w żaden sposób nie mogłem załatwić. Od myślenia o niej już mnie nawet rozboleła głowa. Wszyscy mi wciąż powtarzali, że bez znajomości nigdy tej sprawy nie załatwię. Wreszcie szczęście mi dopisało i spotkałem znajomego, który — dobrze o tym wiedziałem — może mi z powodzeniem pomóc. Od razu wyłożyłem mu przedmiot mego kłopotu.

Znajomy spojrzał na mnie jak na naiwne dziecko.

— I ty z tym do mnie? Wal prosto do Wiśniaka... Gdybym ja miał tak dobrego znajomego na tak wysokim stanowisku, nigdy mnie by nie boleła głowa! On przecież wszystko może!

Serdecznie podziękowałem memu znajomemu za radę. Długo dziwiliem się, że od razu nie pomyślałem o Wiśniaku, który jest jedną z najważniejszych figur w mieście. Ból głowy natychmiast ustąpił jakby odjęty czarodziejską różdżką.

Nazajutrz wczesnym rankiem byłem już u swego dobrego znajomego, który wszystko mógł.

— A cześć — przywitał mnie kordialnie Wiśniak, mój bardzo ważny dobry znajomy. — Kupę lat ciebie nie widziałem. Dlaczego zapominasz o swoich dobrych znajomych, mógłbyś przecież od czasu do czasu mnie odwiedzić...

— Wiesz, mam taką sprawę, w zasadzie rzecz jest prościutka, ale każdy umywa ręce... — Zacząłem wyluszczać, z czym przyszedłem. — Jedyne ty możesz mi to załatwić, znasz mnie przecież od dziecka...

Po wypowiedzeniu tych błagalnych słów czekałem w napięciu.

— I ty przychodzisz do mnie z taką bzdurą? — obruszył się mój dobry znajomy na wysokim stanowisku. — Przecież to może załatwić byle urzędniczyna.

— Ale żaden urzędnik nie chce — zacząłem ze strachem. — Ty jesteś ostatnią deską ratunku...

— Jaka znówu deska? — zachnął się mój ważny dobry znajomy.

— Jesteś przecież moim bardzo dobrym znajomym, znasz się prawie od kotyski... — mówiłem dalej w rozgorączkowanym podnieceniu.

Chwilę trwało straszliwe milczenie. Na czole Wiśniaka, mego dobrego znajomego, pojawiły się nabrzmiałe troską zmarszczki.

— Właśnie to jest najgorsze, że jesteśmy dobrymi znajomymi — usłyszałem słowa wypowiedziane z o-

gromną powagą i poczuciem odpowiedzialności. — Rzeczywiście, załatwiłbym ci tę sprawę od ręki ale... Widzisz, wszyscy wokół wiedzą, że jesteś moim dobrym znajomym, gdybym więc ci załatwił, zaraz zaczęłoby ludzi plotkować, że zrobiłem to po znajomości.

Mój bardzo dobry znajomy znówu zamilkł. Powaga sytuacji w dal szym ciągu odmalowywała się na jego twarzy.

— To przecież sprawa czysta, każdemu należałoby się to, o co ja proszę... — wykrztusiłem.

— Tak, przyznaję, każdemu to się należy. Jednakże zrozumiem, wszyscy wiedzą o naszej znajomości, a ja muszę na swoim stanowisku postępować taktycznie... Nie można przecież demoralizować ludzi... Posłuchaj, radzę ci zwrócić się do Wiśniewskiego, wy się przecież zupełnie nie znacie. On nie będzie się bał, że posadzą go o kumoterstwo.

Pożegnałem się z Wiśniakiem niezwykle czule, z obopólnym zrozumieniem.

Nazajutrz zwróciłem się do wskazanego mi Wiśniewskiego. I je-

Potęga znajomości

Czesław Kuriata

mu od razu wyłożyłem, z czym przyszedłem.

— Tak, rozumiem — usłyszałem grzeczną odpowiedź. — Owszem, załatwiłbym chętnie, ale ja przecież pana zupełnie nie znam. Niech pan wali wprost do... — Tu wymienił nazwisko Wiśniaka, mego dobrego znajomego na wysokim stanowisku.

— Wszyscy przecież wiedzą, że to pański dobry znajomy, on panu załatwi od ręki...

Nie słuchałem dalej, szybko pożegnałem się i wyszedłem. Tej drobnej sprawy nie załatwiłem do dzisiaj, co zdecydowanie zaprzecza błędnemu — a co gorsze — powszechnemu przekonaniu, jakoby w życiu najważniejsze były znajomości, bez których niczego nie można załatwić. Okazuje się, że bywa wręcz przeciwnie, co jest ogromnie pocieszające dla tych, którzy nie mają żadnych znajomości.

P.S. Kiedy zaniosłem niniejsze opowiadanie do bardzo dobrego znajomego redaktora, ten powiedział z troską: „Owszem, zamieścę, choć wiem, że ogromnie ryzykuję, narażając się na plotki. I zrobiłem to po znajomości. Prawdę mówiąc wolałbym, żebyś nie był moim dobrym znajomym, albo przynajmniej, żeby nikt nie wiedział o naszej znajomości”.

Od redakcji: Autor humoreski jest naszym średnio — dobrym znajomym!